

**W PEŁNI MIESIĄCZEK**



**Michał P. Lipka**

# W PEŁNI MIESIĄCZEK

Michał

P.

Lipka

Zdjęcie na okładce i okładka: Michał P. Lipka  
Zdjęcia grafik rozdziałów: Agnieszka Przybysz

**Dla Pysi, jak zawsze**

## NIEWIELKI KROK DLA CZŁOWIEKA, JESZCZE MNIEJSZY DLA LUDZKOŚCI

*To tylko jeden, mały krok, nic takiego.  
To nawet nie w przepaść skok. Nic wielkiego.  
A jednak zmienić może wszystko, wiesz?  
Jemu dać mogłaś, może więc i mnie.*

- Born to be Waldek

Podobno człowiek nudzi się wszystkim, każdą jedną rzeczą, wystarczy, że w końcu ją dostanie. Wystarczy, że będzie miał ją na wyciągnięcie ręki, że już ją chwyci, dorwie między swoje spocone, brudne, lepkie paluchy, a spowszednieje mu, niezależnie czym by nie była.

- Głupota – powiedział Kosmonauta. Ten niewysoki człowiek o sylwetce, która była tak nijaka, że nikt by jej nie zapamiętał, ani się nie uśmiechnął, ani się uśmiechnął, kiedy mówił: - Bzdura.

Bo jego zdaniem jeśli coś jest naprawdę ważne, nie spowszednieje. Nie znudzi się. Nie stanie się rutyną, nieważne ile razy miałby z tym do czynienia.

- Weźmy seks – powiedział. – Nieważne ile razy facet spuści się w kobietę, na kobietę czy przy kobiecie, nigdy nie będzie miał dość.

Zawsze będzie chciał więcej i więcej. Może z inną, to fakt, bo kobieta nigdy, ale to nigdy nie jest tak ważna, by nie stała się nudna, może w innej pozycji, może w inny otwór ciała albo na inne jego miejsce. Może w zupełnie odmiennych okolicznościach przyrody, ale jednak.

- Albo weźmy jedzenie – ciągnął, spoglądając na niebo, które rozciągało się pod jego stopami. Spoglądając w mrok i na wszystkie te gwiazdy, lśniące, jakby mrugały do niego zalotnie. Jakby mówiły *no chodź, skocz do nas*. Niczym oczy ofiary gwałtu, aż proszące by napastnik posuwał jeszcze mocniej, by doszedł w nią i zapłodnił. – Może zmienia się forma, ale jeść chcemy.

Może i czasem wolimy pizzę od pierogów, ale na litość boską, nikt z nas nie chce przestać jeść tylko dlatego, że jedno danie go znudziło. A i do tego dania prędzej czy później pewnie wróci.

- Kosmos więc nie może znudzić – opowiadał. – Nie może spowszednieć.

Co prawda teraz był na wyciągnięcie ręki, wystarczyło jedynie skoczyć i już było się wśród gwiazd. Już szybowoło się do nich, nabierając prędkości, czując jak atmosfera zaczyna płonąć dookoła, chociaż wszędzie panuje lodowate zimno.

Tylko tyle, każdy mógł to zrobić. Każdy mógł zostać kosmonautą. Astronautą. Każdy mógł tego dokonać. Każdy mógł zrobić ten niewielki krok dla człowieka, a jeszcze mniejszy dla ludzkości, bo większość ludzkości już dawno spadła w przestrzeń. A znaczenie ma tylko to, co robi się inaczej. Coś oryginalnego. Coś, czego nie zrobił nikt przed tobą albo zrobiło na tyle niewielu, by nikogo to nie obchodziło.

Kosmos był więc co prawda na wyciągnięcie ręki każdego, ale nie zmieniło to faktu, że astronauta chciał wyciągnąć po niego ową rękę. Dłoń opadającą ku niebu, kiedy tylko pozwolić jej swobodnie zwisać.

- Bo inni wpadli tam nieświadomie – opowiadał.

Albo chcieli się zabić, odebrać sobie namiastki życia, jeśli w ogóle cokolwiek można było sobie odebrać.

- A ja zejść tam celowo.

Zejdzie, spuści się po specjalnie przygotowanych linach, może wspomagając się czymś jeszcze, a może nie – choćby gaśnicą, nadającą mu pędu siłą odrzutu piany – aż wydostanie się poza strefę odpychania ludzi przez Ziemię.

- Bo gdzieś tam, poza działaniem siły, która odpycha nas w kosmos, istnieje próżnia, w której nie ma grawitacji – przekonywał.

Podobno zobaczył przez lunetę zwłoki unoszące się w czarnej pustce. Tyle, że ta pustka nie była taka czarna, skoro wszędzie dostrzec można było gwiazdy.

- A wtedy dam się pochwycić grawitacji Księżyca i wyląduję na jego powierzchni – opowiadał. – Trzeba tylko odpowiednio wyliczyć trajektorię lotu, uwzględnić wszystkie zmienne, przygotować plany, żeby nie trafić obok naturalnego satelity Ziemi i nie poszybować gdzieś w mrok.

Będzie miał wtedy sprzęt do oddychania – połączony nieskończenie długą rurką z Ziemią, skąd czerpać będzie tlen.

- Będą pierwszym człowiekiem, który wylądował na srebrnym globie bez jakiegokolwiek sprzętu służącego do podróży kosmicznych – zapewniał, zacierając przy tym rękę, jakby był seksoholikiem, który dostał Nielimitowany darmowy karnet do ekskluzywnego burdelu pełnego nastoletnich Azjatek.

A Renka powiedziała:

- Wiesz, że jesteś pierdolnięty?

I przestała zwracać na niego uwagę.

## KTO NAPALĄBY SIĘ NA WOREK?

*W nudnym świecie nudni ludzie,  
Nudna ręka na twym udzie,  
Nudny kutas w tobie tkwi  
Zamknij przed tym światem drzwi.*

- Pończoszki

Małolata stała i tupiała nogą. Rytmiczne uderzenia, stukanie stopy wciśniętej w lekkie obuwie, niosły się dokoła echem. W jej przypadku nawet echo potrafiło być zniecierpliwione. Zirytowane. W jej przypadku echo potrafiło brzmieć, jakby było wkurzone. Jakby miało focha.

Ale w przypadku nastolatki, w przypadku ładnej, seksownej dziewczyny w wieku licealnym, nawet to co irytujące potrafi być seksowne. Wystarczy pomyśleć, że stuka nogą, zgrabną i szczupłą, wystarczy pomyśleć, że ma dwie nogi, a konkluzja będzie oczywista – musi mieć coś między tymi nogami. Musi mieć uda, które się rozchylają, by ukazać różowy, wilgotny i ciasny raj.

- Pewnie znowu myślisz te swoje pojebane, zboczone rzeczy – powiedziała Małolata, jakby opowiadała o czymś, co w ogóle jej nie interesuje. Jakby mówiła o pogodzie, którą ma gdzieś, bo dziś i tak siedzi w domu albo o filmie, który włączy, ale którego nawet nie będzie oglądała, bo i tak cały seans spędzi na innych czynnościach.

Nic nie odpowiedziałem. Nic nie mówiłem. Czekałem.

Nie trzeba było wiele, żeby Małolata umarła. Zginęła śmiercią tragiczną taką samą, jaka zabrała z tego świata Renkę. Byliśmy tylko my dwoje, w tym miejscu, w tym momencie, w tej chwili, w której nasza podróż zmieniła się w oczekiwanie, a za chwilę mogłem zostać tylko ja. Sam, jeden, jedyny, nikogo poza tym, bo w świecie, gdzie nie ma władzy, nie ma też zbrodni. W rzeczywistości, w której nie istnieją prawa, bo nie ma kto ich pilnować, w takiej rzeczywistości nie ma też zła, bo każdy czyn jest dozwolony, każda rzecz jest czymś zupełnie normalnym i nieważne czy kogoś zgwałcisz, czy zabijesz, nie zrobisz niczego niewłaściwego.

- Pewnie jak tylko się odwrócę, gapisz się na mój tyłek i wyobrażasz sobie, jak biorę twojego śmiesznego, małego kutasa między pośladki – mówiła Małolata, jakby chciała mnie sprowokować. Jakby chciała mnie wkurzyć, zdenerwować, wyprowadzić z równowagi wizją, która nigdy się nie ziści. Jakby chciała mnie dobić nieosiągalnym marzeniem, ale mnie to nie obchodziło.

Stałem więc i czekałem. Ona stukała nogą, postukiwała palcami założonych na piersi rąk, uderzając opuszkami o przedramiona, a ja czekałem.

Nie była już w ciąży. Nikt nie był – ja też. Ciężowy brzuch nie zniknął jej, te fałdy rozciągniętej skóry, które zaokrągliły ją między biodrami a biustem nie wchłonęły się, ale też nie rzucały się bardzo w oczy. Nie tak, by zabić to, jakie wrażenie robiła. Jakie wrażenie mogła robić, kiedy facet po miesiącach bycia zapłodnionym przez nie wiadomo co, kiedy tydzień za tygodniem nie mógł nawet cieszyć się wzwodem, na który zaradziłby starą dobrą masturbacją, spojrzy na nią i dostrzeże jej kształty.

Ale prawda była taka, że kobieta po urodzeniu dziecka, nieważne ludzkiego, demonicznego, zmutowanego czy kosmicznego, bez znaczenia jakiej płci i wyglądu, przestaje być tak seksowna, jaka była. Nieważne czy wróci do formy, do kształtu, jakim cieszyła się wcześniej, jakim oczy cieszyli mężczyźni, dla każdego, kto wiedziała, że wypluła z siebie potomka, nie była już tak seksowna. I nigdy, przenigdy nie była seksowna, kiedy facet zobaczył jak wygląda po wszystkim. Kiedy widział te rozstępy, tą wiszącą skórę, te cycki niczym dwie łyse moszny zakończone sutkami i to krocze, rozciągnięte, luźne że nie dające już satysfakcji, bardziej przypominające indyka na święto dziękczynienia, ten drób, w który ktoś już wsadzał rękę, żeby nadziać go farszem, niż coś, w co kiedyś wchodziło się z taką ochotą. Co lizało się i pieściło. Co wywoływało ból, kiedy próbowałeś wcisnąć się po raz pierwszy, a co teraz wyrzuciło z siebie kilkukilogramowe potomstwo i łóżysko, przypominające jakąś padlinę, która wpadła pod koła samochodu na trasie szybkiego ruchu.

A jeśli facet zobaczył, jak kobieta rodzi, jeśli widział, jak przez jej cipkę przeciska się głowa dziecka, rozciągając ją, aż pęka, aż krwawi, a jakiś obcy facet albo kobieta, jakiś medyk w stroju niczym z serialu o życiu uczuciowym chirurgów, majstruje przy tym... Po czymś takim nawet rodząca się w umyśle pedofila-incestomaniaka wizja, że to dziecko było w kobiecie, że ten chłopiec tkwił w niej penisem a ta dziewczynka smakowała jej wnętrze, nawet to przestaje kręcić kogoś takiego.

- A jak się tylko pochylę – ciągnęła Małolata – pewnie myślisz tylko, kiedy pękną mi spodnie, cipa wyskoczy na wierzch a ty będziesz mógł ją nabić, co?

Miałem to szczęście, że w jej przypadku nie widziałem porodu. Że widziałem ją tylko w ciąży, a potem już bez brzucha. Że nie oglądałem jej wiszącej skóry i sflaczałych piersi, bo zawsze je ukrywała, dając nadzieje, że skoro nie karmiła, to może chociaż biust nie stracił na jędrności.



Bo prawda o ciężarnych była taka, że pozostawały seksowne. Nawet jeśli tyły, pozostały seksi tak długo, jak długo nie rodziły albo nie widziały skutków porodu. Te duże piersi, ociekające mlekiem, niczym świeżym wytryskiem po nich rozlanym. Te pochwy, do których można się spuszczać bez konsekwencji. Ten wielki brzuch, na którego opiętej skórze wytryski lśnią w blasku lamp oświetlających plan zdjęciowy. Wszystko to działało dopóki kobieta pozostawała w ciąży. Kiedy rodziła, stawała się workiem pełnym kości i wnętrzności, a kto chciałby nakręcać się na worek?

A teraz każda kobieta i każdy mężczyzna był już po porodzie. Każdy stał się takim workiem i jedynie świadomość, że nie o każdym to wiemy, że nie każdy w naszych oczach, w naszej wizji, w której zawsze możemy oszukiwać się, że wszystko jest inne, niż w rzeczywistości, stanowiła pewne pocieszenie.

- Faceci są żałośni – powiedziała Małolata, nadal stukając palcami, ich poduszczkami, paznokciami, o własne przedramię. Nadal uderzała stopą o podłogę.

A ja czekałem.

Myślałem o jej śmierci, myślałem o zgonie Renki i czekałem, a czas płynął, jakby tylko on w całej tej rzeczywistości pozostał jedną, jedyną niezmienną stałą.

## ANALNA MODLITWA

*Ze mną się pomódl, na klęczkach, na czworakach,  
Przyjmij komunię z wytrysku złożoną,  
Nie bądź tak uparta, niewierząca taka,  
Czyńmy jakbyś była na ołtarz złożoną.*

- Born to be Waldek

Zanim tamtego wieczoru, tamtego dnia, kiedy Roman miał swój wieczór kawalerski, Renka padła na kolana, zmieniając się w muzułmankę, odprawiającą modły na swoim wielobarwnym dywaniku, a ja wszedłem od tyłu w jej odbyt, zanim zaczęliśmy ten piękny akt seksu pozamałżeńskiego, jeszcze nie żona Romana powiedziała:

- Ty naprawdę nic o nim nie wiesz.

Rozbierała się wtedy, warstwa po warstwie, krok po kroku. To był jej wieczór panieński, ale nie ułożyła włosów, nie ubrała się jakoś szczególnie. Nawet bielizny nie miała seksownej. Ściągnęła więc zwykłą bluzkę, jaką mogłaby założyć do pracy, zwyczajną bluzkę, której nie powstydziliby się, gdyby siedziała w domu, sama ze sobą, bez gości, bez oczu śledzących ją wzorkiem. Pod nią miała stanik, który musiała pachnąć potem z jej piersi – stanik prosty, nijaki. Kiedy kobieta nosi taki biustonosz, ucieka przed każdym, kto mógłby ją w nim zobaczyć. Bo płeć piękna nie wstydzi się tego, że jakiś facet mógłby ją podejrzeć – każda dziewczyna tego chce, bo wtedy czuje się seksi – tylko boi się tego, że mógłby ją zobaczyć w takim domowym staniku. Nijakim, bawełnianym, tak nudnym, że pozbawionym koloru. Gdyby było inaczej, nie świeciłyby niemal gołymi tyłkami na plażach. Nie zakładałyby miniówek, w których niemal widać im majtki ani legginsów. Nie nosiłyby tak opiętych szortów, że na ich krocach można by wyedukować młodego ginekologa,

- Roman to niezwykle człowiek – kontynuowała, ściągając dzinsy. Zsunęła je wzdłuż wydepilowanych nóg, po których gładkiej skórze ślizgały się, jak po jej ciele ślizgał się mój wzrok, złożyła i przewiesiła przez poręcz krzesła.

Ale dla mnie Roman wyglądał na frajera, jakich wiele. Na idiotę, z którym nie bardzo warto się zadawać, a tym bardziej brać ślubu. Męskiego głupca, jakich wielu, myślącego tylko o jednym, niemającego nic do zaoferowania, ale przekonanego, że należą im się tylko najlepsze, młode, seksowne, zgrabne i biuściaste królowe piękności. Że tylko takie zasługują, by być przez nich ruchane.

- Roman to ktoś, o kim nie masz najmniejszego pojęcia – tłumaczyła Renka.

Zsunęła majtki, zwykle białe figi z wkładką higieniczną, przyklejoną do ich krocza i zaczęła rozciągając pośladki, jakby miało to rozluźnić jej zwieracz. Zaczęła przeciągać się i wyginać, jakby miało to cokolwiek jej dać. Pomóc.

- Ty nie jesteś w stanie pojąć kogoś takiego jak on – mówiła, masując zwieracz odbytu, a ja stałem nagi, ze wzrodem i czekałem. – Może i się z nim przyjaźnisz, ale nie masz najmniejszego pojęcia z kim.

Ale dla mnie brzmiało to tak, jakby chciała wyjaśnić, dlaczego ktoś taki jak ona, ktoś tak pewny swej wartości, tak przekonany o swojej wielkości i wspaniałości, czemu ktoś taki jak Renka mógłby poślubić takiego idiotę. Takiego nijakiego, szarego cwaniaczka, który aż ociekał polską mentalnością.

- Nie, żebyś zaprzyjaźnił się z nim tak tylko dlatego, by być blisko mnie – mówiła Renka. – Ty jesteś na to za głupi, prawda?

Masowała odbytu, a ja czekałem. Kutas mi pulsował, gotowy wejść w nią i wytrysnąć, a ja czekałem.

- Roman to ktoś, kogo może zrozumieć tylko taka osoba, jak ja – powiedziała Renka, a potem dodała: - Ale dość już o nim.

Wypięła się i dorzuciła:

- Kościół ma rację – klękając, z twarzą zwróconą w kierunku ściany. Naga wierna, taka jak ją Bóg stworzył, w jedynej godnej szacie odpowiedniej do wznoszenia modłów.

I zaczęła się nasza analna modlitwa.

## PIĘKNO ŚLEPOTY

*Ślepy bądź, głuchy bądź,  
Niepotrzebne nerwy,  
Nie myśl, za mną chodź, nie błędź,  
To ty masz pozostać wierny.*

- Tabletki na wstyd

Nikt nie pamiętał już ile minęło czasu od chwili, gdy ludzie stali się pajakami. Od tego momentu, kiedy wszyscy przemienili się w robactwo, którym od zawsze byli i zamiast po podłodze, zaczęli pełzać po sufitach. Odkąd nie było prądu, odkąd nie istniały telewizja ani internet, a dwunożne potomstwo małp nie mogło już podłączyć telefonu do ładowarki, wszyscy stracili poczucie czasu. Bo kiedy się idzie, kiedy się wędruje, kiedy zostawia się za sobą wszystko, bo coraz trudniej jest zdobyć cokolwiek, właśnie wtedy człowiekowi czas nie jest już do niczego potrzebny.

- Nie jestem gruba – mówiła Małolata. – To tylko te głupie ubrania mnie pogrubiają.

Bo przecież nigdy nie była w ciąży. Nigdy, przenigdy nie nosiła w brzuchu niczego, co mogło rozciągnąć ją od środka. Co mogło pozostawić po sobie znak nawet wtedy, kiedy już go nie było.

- Ja po prostu dobrze wyglądam – opowiadała Renka. Odpowiadał jej głos, dobiegający gdzieś z ciemności.

Bo kto chciałby być chudą, jak wieszak, suchą niczym modelka, kobietą. Kobieta powinna mieć biust, powinna mieć konkretne, kształtne, miękkie pośladki.

- A kiedy ma i biust, i pośladki – dowodziła – musi mieć też i trochę brzucha. Nie ma opcji. Taki już los kobiety.

Kanały nie śmierdziały tak bardzo, jak można by sądzić. Odkąd nie działały oczyszczalnie ścieków, a ludzie wypróżniali się w kosmos, te nieliczne podziemne tunele, których w Polsce było jak na lekarstwo, a szczególnie w małych miastach, zalatywały błotem. Pachniały, jak wiosenny staw, kiedy pełno w nim ryb, a woda nie jest szczególnie czysta. Pachniały, jak wyschnięta kałuża gdzieś na piaszczystej drodze – kałuża, w której myły się bezpańskie psy.

Bo odkąd ludzie włązy studzienek kanalizacyjnych, wszystkie te prowadzące niegdyś pod ziemię, a teraz otwierające się na pustkę nieba tunele

zaczęli traktować jak toalety w samolocie, świat stał się czystszy. Gdzieś w kosmosie unosiły się krople naszego moczu, gdzieś tam lewitowały rozbite przez pęd na drobinki ekskrementy, ale tu, na Ziemi, w ziemi, pod ziemią – tutaj wszystko było jakby zdrowsze. Mniej śmierdzące. Niemal wymyte, chociaż deszcz już nie padał – chyba, że gdzieś w kierunku przestrzeni kosmicznej – a woda nie płynęła rurami.

- Sam jesteś tłusty – mówiła Małolata, jakbym w ogóle się odezwał, jakbym cokolwiek powiedział albo skomentował. – Spójrz tylko na ten obwisły bandzioch... Jak ty wyglądasz... Zadbajbyś o siebie, poćwiczyl. Kurwa, człowieku, ty masz nawet męskie cycki, a nie ma na tym świecie nic bardziej obrzydliwego od nich.

W ciemnościach nie widziałem jej twarzy, ale wiedziałem, że się uśmiecha.

W ciemnościach jej twarz nie miała znaczenia tak, jak nie miał znaczenia kalendarz. W mroku ton głosu wyrażał wszystko. Tak musieli czuć się ślepcy, tak niewidomi musieli postrzegać świat. Nie widząc co się dzieje, nie odbierając wzrokiem tego, jak wygląda otaczający ich świat, mogli oszukiwać się, że jest piękny. Mogli wierzyć, że wokół nich rozciągają się same cuda. Same wspaniałości. Dla nich, w ich wyobrażeniach, Renka i Małolata mogły być cudami świata. Nawet teraz, nawet z tymi brzuchami i piersiami, tymi pamiątkami po ciąży, które już nie istniały.

- To tak, jak z ustami – tłumaczyła ex-zona Romana. – Facet nie chce cienkich. Nie podobają mu się zaciśnięte kreski, które wyglądają jak u mężczyzny. Facet chce pełnych, namiętych ust.

Prawda o ciemności była nie tylko taka, że nikt nie potrzebował tutaj miar czasu, ale przede wszystkim taka, że łatwo było do niej przywyknąć. Aż za łatwo. Lepiej było wyobrażać sobie to, co chciało się widzieć, niż widzieć naprawdę. Lepiej było nie dostrzegać tego, czego widzieć się nie chciało, tak jak lepiej było być wariatem i robić, co robić się chciało, niż żyć spętanym konwenansami i zasadami.

- Kutas pewnie wisi ci tak samo, jak brzuch – mówiła Małolata. – Otyli już tak mają. Dużo gadają o seksie, ale jak co do czego przyjdzie, to nawet nie chce im stanąć.

Zupełnie jakby w swoim wieku miała tak bogate doświadczenie seksualne, by to wiedzieć.

W ciemnościach nie miało znaczenia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Tu liczyło się tylko, że szliśmy naprzód, czasem wyglądając na powierzchnię i próbując zorientować się, gdzie właściwie się znajdujemy. Wszystkie włazy kanalizacyjne

wypadły, zniknęły gdzieś w kosmosie, więc naszą trasę znaczyło pojawiające się czasem przeblyski światła padającego z okrągłych otworów tkwiących w chodnikach i nawierzchniach szos. Nasze małe punkty orientacyjne, sygnalizatory, które przypominały nam jedynie, gdzie czeka na nas otchłań.

Taki samymi punktami były dla nas mijane czasem zwłoki. Trupy zabite przez jakąś nową, nieznaną nam jeszcze zarazę. Trup za trupem, leżące tu i tam, na tyle rzadko, na tyle daleko od siebie, by można je było uznać za naturalne zjawisko, stały element krajobrazu. Jakakolwiek zabiła je choroba, nawet jeśli zrobiło to to, co wylęgło się z naszych brzuchów, grasując gdzieś po ciemnych tunelach kanałów niczym filmowy obcy, zrobiła to skutecznie.

Dotarliśmy do kolejnej studzienki. Betonowy tunel zaczynał się u moich stóp, brudny i pełen zacieków, a gdzieś na jego końcu, na samym końcu długości odliczanej kolejnymi żelaznymi szczebelkami wmurowanej w ścianę drabiny, ział otwór, przez który widać było niebieskie niebo. Łatwo byłoby tam spaść, łatwo byłoby zrzucić tam Renkę albo Małolatę, szczególnie kiedy kucąły, by sikać do szybu.

- To jak z jedzeniem – opowiadała Renka. – Nikt nie chce jeść płaskiego pączka, który wygląda jakby ktoś na nim usiadł.

A ja wyjąłem penisa i zacząłem oddawać mocz. Żółtawy strumień trysnął w kierunku otworu, uderzył o betonową ścianę i pomknął dalej. Kolejne krople trafiały to w oko nieba, to w murowany szyb, ściekając dalej, ku nieskończoności. Gdzieś obok były Renka i Małolata i mogły równie dobrze zepchnąć mnie tam, zrzucić, zabić – jeśli zabić się dało – co zmoolestować. Równie bez trudu mogły kopnąć mnie w kierunku wjazdu, co i złapać za mojego penisa. Podciąć mi stopy i zepchnąć w stronę nieba albo rzucić mnie na ziemię i dosiąść na jeźdźca.

- Ale i tak pewnie wyobrażasz sobie jakieś zboczone rzeczy, chociaż nie masz najmniejszych szans by jeszcze kiedykolwiek w życiu z kimś się przespać, nawet jeśli przeżyły jakieś kobiety poza nami – powiedziała Małolata i poszła dalej, nawet nie spojrzawszy w kierunku narządu, który wciąż trzymałem w dłoni.

## SLOPPY SECOND

*Nie pije się z kumplem z jednego kieliszka,  
Nie dzieli jedną butelką z przyjacielem,  
Nie rucha się kobiet, których mokra cipka,  
Ocieka tym, co rznął ją właśnie skurwielem.*

- Born to be Waldek

- Każdy mówi, że podstawa dobrego związku to oszukiwanie się – powiedział Roman.

Według tej teorii okłamywanie się było gwarancją spełnienia małżeńskiego. Gwarancją zadowolenia i radości. Bo tylko kiedy człowiek się oszukuje, kiedy nie patrzy naprawdę, kiedy przymyka oko na wady drugiej strony, tylko i wyłącznie wtedy, jedynie wówczas jest w stanie być szczęśliwym z drugim człowiekiem.

- Ale to gówno prawda – opowiadał mąż Renki.

Mówiąc to, pochylił się i zaczął grzebać w śmieciach. Jego blog o skarbach na śmietniku, ta jego strona z filmikami, jego fanpage na Instagramie i kanał na You Tube’ie miały sporą popularność. Dzień w dzień odwiedzało je kilka tysięcy osób, czasem nawet kilkanaście. Zdjęcia lajkowały setki osób, filmiki miały po kilkaset tysięcy odsłon. A reklamy przynosiły konkretne zyski. Może nie takie jak mój program, ale jednak.

Roman wygrzebał ze sterty śmieci bliżej nieokreślone coś i powiedział:

- To można naprawić.

Bliżej nieokreślone coś było bezkształtne i pozbawione koloru. Brudne i oblepione. Mogło być wszystkim i niczym, jak andrzejkowa przepowiednia z wylanego na wodę wosku. Jak pulpa rozpuszczonej na patelni prezerwatywy, która zaschła na jej powierzchni w mapę nigdy nieistniejącego miasta, państwa, kontynentu.

- Używane sekslalki nie są zbyt chodliwym towarem – opowiadał dalej, wpychając to bezkształtne coś do worka na śmieci, który przyniósł ze sobą, jakby chciał upchnąć do niego trupa. Ale to rzeczywiście był trup. Trup kobiety życia jakiegoś mężczyzny, która zapewniła mu rozkosz, jakiej nie dawała żywa przedstawicielka płci pięknej. Zwłoki księżniczki, która zawsze była chętna i gotowa, i mokra, kiedy tylko miałeś lubrykant.

Przystanąłem patrząc na niego.

Renka mówiła, że to ona wymyśliła mu to zajęcie. Że bez niej nic by nie osiągnął. Że to był jej pomysł, jak Roman ma zarabiać, co robić ze swoim życiem, jak zyskać sławę.

Twierdziła, że to dzięki temu byłem sławny. Że to ona, znając mój pech, wiedząc jak nieudolnie potrafię się w coś wpakować, podpowiedziała mi bym wymyślił formułę programu o jedzeniu najgorszych, najdziwniejszych rzeczy, których do kamery nie jadał nikt. Że to dzięki jej sugestii, że formuła może się sprzedać, że to właśnie dzięki jej słowom zdecydowałem się wysłać ów pomysł do stacji telewizyjnych, aż jedna odpowiedziała pozytywnie. Że to dzięki niej zostałem gwiazdą, bo to ona wkręciła mnie do blogu Romana, tak że byłem już na tyle rozpoznawalny, żeby jakaś telewizja w ogóle zechciała rozpatrzyć moją propozycję.

Renka twierdziła, że dzięki niej moja przyjaźń z Romanem nie upadła, kiedy zaproponowała, bym reklamował w swoim programie jego blog, jako swoje źródło inspiracji. Bym od czasu do czasu pojawił się w jego filmikach.

Ale to wszystko było moim pomysłem. Nie potrzebowałem impulsu, by wymyślić taką ideę. Nie potrzebowałem niczyjej pomocy by osiągnąć wszystko to, co osiągnęłam w życiu. Gdyby nie mój pech, mój talent, gdyby nie moja wytrwałość w spożywaniu najdziwniejszych rzeczy, nawet największe przekonywania i impulsy nic by tu nie dały. Nic.

- Ludzie nie chcą ruchać lalek, które ruchali przed nimi inni – opowiadał Roman. – Sloppy second interesuje tylko biseksualistów, których kręci pukanie kobiety po tym, jak ktoś się w nią złał. Ale wystarczy drobny trik, fałszywa gwarancja, że lalka oparta została na ciele i otworach znanej gwiazdy porno, a bez trudu znajdują się kupcy.

Wystarczyło, że Roman załatał taką, odświeżył, nieco przerobił, przemalował i wepchnął do prawdziwego pudełka po sekslalcę wzorowanej na jakiejś aktorce XXX, a ludzie chcieli mieć ją w swojej kolekcji. Faceci chcieli ją posuwać, nawet jeśli mieliby się czymś od niej zarazić.

A takich pudełek miał dużo. Jeden z jego znajomych pracował w drukarni. Nie mam pojęcia skąd wzięli wzór, ale opakowanie nie wzbudziłoby wątpliwości nawet jego pierwotnego producenta.

- Sekretom udanego małżeństwa jest to – opowiadał dalej Roman – że druga strona robi dokładnie to, czego chcesz, myśląc że to był jej własny pomysł.

Mówiąc *druga strona* miał na myśli Renkę. Miał na myśli swoją żonę, bo przecież nie siebie.



- Skrętem udanego małżeństwa jest tak manewrować kobietą, by spełniając zachcianki faceta, była pewna że sama chce to zrobić – opowiadał, znów grzebiąc w śmieciach, a ja zapytałem:

- To w taki sposób przekonałeś ją do ślubu?

Bo jak ktoś taki, jak on, jak tak nijaka osoba, której żona musiała wymyślić zajęcie, mógł przekonać ją do małżeństwa.

- Pytasz czy to ja tak ją zmanipulowałem, żeby wzięła ze mną ślub, przekonana, że to ona zmanipulowała mnie do stanięcia przed ołtarzem? – zapytał Roman.

Z kolejnej sterty śmieci wygrzebał dekoder satelitarny.

- Nie uwierzyłbyś na co można to przerobić – powiedział, pakując go obok użytej miłości czyjegoś życia.

Nie używaliśmy latarek. Nie oświetlaliśmy sobie drogi. Był dzień, środek dnia, niedaleko nas pracowali śmieciarze, ale nie widzieliśmy ich. Do niektórych wysypisk śmieci musieliśmy się włamywać, do większości nie, bo ich nadzorcy nie mieli problemu z tym, że pogrzebiemy w odpadkach ludzkich żywotów. Ale nawet wtedy, nawet kiedy mieliśmy pełne pozwolenie, Roman zawsze udawał, że robimy to nielegalnie. Na film nakładał filtr, mający udawać, że już się ściemnia, że spacerujemy w półmroku, że robimy to już po zamknięciu wysypiska, bo tego chcieli jego widzowie. Tej adrenaliny, niczym przy nagraniach z otwierania paczek pochodzących rzekomo z dark netu.

- Nie mówię, że ta metoda zawsze działa. A na pewno nie na każdego – opowiadał Roman, wiedząc, że i tak wytnie całą naszą rozmowę. Opowiadał, idąc dalej i filmując tak, by nie złapać w kadrze żadnego z pracowników. Jeśli czegoś nie cierpiał w tej robocie, to nie grzebania w zużytych produktach sanitarnych, a montowania filmików. Wycinania zbędnych rzeczy i sklejanie materiału. – Kurwa, gdyby było inaczej, nie kręciłbym głupich filmików na You Tube'a ani nie siedziałbym na marnie płatnych posadach.

Na tych wszystkich kiepsko opłacanych stanowiskach, których największym plusem było to, że mógł olewać obowiązki, udawać całe dni, że coś robi i okradać pracodawcę, kiedy tylko i na czym tylko się dało.

- Ale czasem się udaje – zakończył. – Czasem sprawdza się to aż za dobrze.

A ja spojrzałem na niego i zapytałem:

- A nie nauczyłeś się tego czasem od Renki?

Popatrzyłem na niego i zapytałem:

- To nie od niej podchwyciłeś ten pomysł?

Ale Roman już patrzył w inną stronę.

- Zobacz – powiedział – całkiem nieźle wyglądająca szlifierka.  
I zaczął ponownie grzebać w odpadkach.

## BLACK LIVES MATTER

*Jestem twoją sektą,  
Ty wyznawcą moim,  
Jestem twoją piękną,  
Spełnieniem snów twoich,  
Jestem twoim wszystkim,  
Wszystkim czego chcesz,  
Wszystkim o czym myślisz.  
Mnie tylko pragniesz.*

- Lewatywki

Kiedy patrzyło się na sektę, kiedy słuchało się jej wyznawców, trudno było właściwie powiedzieć o co może im chodzić. Co wyznają. W co wierzą. Nikt, kto posłuchałby ich dłuższą chwilę, nie miałby najmniejszego pojęcia, jakie ideały wyznają i kto właściwie jest ich przywódcą. Jedno było jednak pewne ponad wszelką wątpliwość: byli żarliwymi wyznawcami własnego kultu. Tak żarliwymi, jak żarliwy może być tylko człowiek wyznający samego siebie albo kobietę, która po raz pierwszy dała mu się ze sobą przespać.

- Idioci – powiedziałem.

A może tylko pomyślałem?

Trudno było powiedzieć, ale kiedy stałem tak gdzieś na uboczu tłumu, który tłumem wcale nie był, w słowach które padały z ich ust, trudno było usłyszeć i słowa, i myśli. Trudno było usłyszeć nawet to, co mówią oni, bo nikt nie przejmował się wyrzucaniem z siebie kolejnych słów unisono. Nikt nie dbał o to, by wcisnąć się ze swoim okrzykiem w lukę ciszy między zdaniem wypływającym przez innych.

Trudno było stwierdzić czy powiedziałem to na głos, czy nie, bo może i przeżyłem okres, może i przetrwałem krwawienie ze wszystkich otworów ciała, a potem zdołałem ujść z życiem z ciąży, ale nie zmieniło to faktu, że czasem wciąż gubiło mi się gdzieś jakieś słowo uciekała myśl, znikał powód, a całe zdania wyparowywały.

- Jesteśmy... - krzyczał ktoś, a inny odpowiadał krzykiem.

- Nasz cel to...

Podczas gdy jeszcze ktoś mówił:

- Dla nas wszystko to...

Ale cokolwiek można by wstawić po następującym wówczas wielokropku, jakkolwiek można by odczytywać ich słowa, wszystko by pasowało. Wszystko miałoby sens.

Ktoś mógłby powiedzieć:

- Jesteśmy cygańskimi judaistami należącymi do neonazistowskiej organizacji, żyjącymi w gejowskim związku partnerskim i chodzącymi na parady spod szyldu *Black Lives Matter*

a miałoby to tyle samo sensu, co wszystko, cokolwiek mówili, cokolwiek krzyczeli. Co wyznawali.

Ktoś mógłby rzec:

- Wierzymy jedynie w biseksualne lesbijki sypiające wyłącznie z mężczyznami

a cała reszta znalazłaby w tym wielki, głęboki sens. Znalazłaby ponadczasową prawdę. Znalazłby sens życia i obiekt gorliwej wiary.

- Debile – powiedziałem, ziewając.

Patrzyłem na nich i nie mogłem przestać ziewać. Ziewać nie mógłby przestać nikt, kto w ogóle by ich usłyszał. Kto patrzyłby na ich nijakie twarze, których nie dałoby się zapamiętać. Kto znałby ich pozbawione sensu żywoty. Więc ziewałem.

A oni krzyczeli i mówili. Wrzeszczeli i wyrzucali z siebie słowa, jakby zagrzewali do boju samych siebie.

Ale przynajmniej dotleniłem organizm.

## PODRZYNAJĄCY GARDŁA KATAR

*Uważaj na ostre rżnięcie, bo możesz go nie przeżyć,  
Możesz nie wytrzymać tego, z czym musisz się zmierzyć,  
Możesz skończyć bezlitośnie na kawałki rozerwana,  
Z gardłem pulsującym, niczym gardła rana!*

- Born to be Waldek

Kiedy jesteś niewidomy, wszystko może być dla ciebie idealne i piękne. W ciemności każda rzecz może być tym, czym chcesz by była. W mroku, tak samo jak pod wpływem alkoholu, każda kobieta pięknieje, każda dziewczyna staje się seksowna, a jej ciało wspaniałe.

W otaczającej cię czerni możesz być nieskończenie bogaty, bo nawet zwykłe metalowe podkładki mogą być przedwiecznym, bezcennym skarbem, a każdy fragment papieru wycięty z gazety staje się środkiem płatniczym o najwyższym nominale, jaki tylko potrafisz sobie wyobrazić. W świetle złożony z braku światła, w takiej rzeczywistości, ulotka reklamowa a supermarketu albo tani magazyn pornograficzny okazuje się być bezcennym zbiorem papierów wartościowych, zszytych lub sklejonych ze sobą.

- Jesteście trochę dziwni – powiedział Kosmonauta. – Wędrowanie jest bez sensu. Lepiej było znaleźć jakąś hurtownię, zabunkrować się w niej i siedzieć tam, póki wystarczy żywności. Chodzenie to bezsensowne tracenie energii.

W ciemnościach każdy towarzysz podróży, każdy napotkany człowiek, każda istota, która może pojawić się dosłownie znikąd, jakby materializowała się z samej ciemności, w takich warunkach każdy z nich potencjalnie może być towarzyszem idealnym. Idealnym kolegą. Idealnym przyjacielem. Idealnym przedstawicielem swojej rasy – bytem niemal tak doskonałym, jak jesteś nim ty sam – pod warunkiem, że nie będzie się odzywał. Pod warunkiem, że w żaden sposób nie okaże swojego charakteru. Odzywanie się, wypowiedanie, wyrzucanie z siebie słów, było jak wytrzeźwienie w trakcie seksu ze starą, brzydką babą, którą w momencie upojenia alkoholowego wzięło się za nastolatkę.

- Miejsce koczowania – ciągnął Kosmonauta – zmienia się dopiero wtedy, kiedy już kończy się żywność, a wy bez sensu idziecie wciąż przed siebie.

- Też idziesz – powiedziałem do niego. Renka ignorowała go, jak ignorowała Małolatę.

- Ale ja nie szukam pożywienia. Ja mam swój cel. Znalezienie właściwego sprzętu i miejsca do wykonania skoku na Księżyc. Nie jestem taki, jak wy.

Rzecz w tym, że w tunelach każdy mógł taki sam. Każdy mógł być każdym, kim tylko chciał.

- Ja mam cel. Mam ideę – powiedział Kosmonauta, a ja odpowiedziałem:

- I kto tu jest dziwny?

- Tak zawsze mówią o prekursorach.

Jego zdaniem zawsze tak mówili o geniuszach. Powtarzali to o ludziach, którzy wyprzedzali swoje czasy, wyprzedzali umysłowo całą, otaczającą ich resztę.

- Ale wy jesteście dziwni tak zwyczajnie – tłumaczył.

Jego zdaniem byliśmy dziwni pospolicie. Bezsensownie. Dziwni bez jakichkolwiek pozytywnych cech z dziwnością związanych. Byliśmy dziwni, jak dziwni są wariaci, jak dziwna jest rozwrzeszczana, kolorowa masa, w której nie ma indywidualnych myśli, a tylko instynkt stadny. Ale nie byliśmy dziwni, jak wybitni projektanci mody, jak wielcy artyści ani odkrywcy, w których pomysły nikt nie chciał wierzyć.

- Ale nawet nijacy ludzie mogą się do czegoś przydać – wyjaśnił Kosmonauta.

- Zapytaj go, do czego w takim razie przyda nam się ktoś tak nijaki, jak on – powiedziała gdzieś z ciemności głos Renki.

Ale zignorowałem ją.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie Kosmonauta się do nas przyplątał, ale było to niedawno. Był jednym z tych nielicznych ludzi, którzy wpadli na to, by zejść do podziemnych niegdyś tuneli i jednym z tych jeszcze bardziej nielicznych, którzy jeszcze w nich nie zginęli i pewnego dnia po prostu się pojawił. Pojawił na naszej drodze, w naszej wyprawie. Pojawił i został, jak czasem miałem wrażenie, że w życiu Renki został Roman.

Jednego dnia go nie było, a drugiego już szedł z nami. Jednego dnia Małolata prowokowała mnie gdzieś z ciemności, w której mogła być zarówno ubrana, jak i całkiem goła, a drugiego to on gadał na okrągło, opowiadając o swoim pomysle wyprawy na Księżyc. O tym jednym niewielkim skoku dla człowieka, który dla niego byłby skokiem na srebrny glob.

- Musimy dotrzeć do jakiegoś przejścia prowadzącego do budynku – powiedziała Renka.

Chciała znaleźć drzwi oczyszczalni ścieków, przez które moglibyśmy przedostać się wyżej albo dziury w ścianie prowadzącej do czyjejś piwnicy,

żebyśmy mogli znaleźć jakieś łóżko czy inne wygody. Świat był dla nas na wyciągnięcie ręki, coraz widzieliśmy jego przebłyski w kolejnych mijanych otworach kanalizacyjnych, ale pozostawał nieosiągalny. Wyjść przez dziurę w ziemi, w asfalcie, w chodniku było łatwo, każdy mógł to zrobić, ale co miał zrobić potem? Czego się złapać? Jak przejść gdzieś dalej, do innego miejsca, budynku? W większości miejsc nikt nawet nie rozciągnął lin między budynkami, by móc podróżować przesuając się na nich, czekając tylko aż puści któryś uchwyt albo sama lina w końcu nie będzie w stanie utrzymać ciężaru ludzi.

- Sporo tu trupów – powiedział Kosmonauta, patrząc na kolejne mijane zwłoki, które leżały niedaleko jednego z otworów.

Ale i tak bezpieczniej było wędrować tędy, niż próbować wydostać się na powierzchnię przez okrągłą dziurę wieńczącą szyb kanalizacji.

- To tylko ofiary zarazy – powiedziała Renka.

- To wina choroby – powtórzyłem, gdy Kosmonauta przyglądał się ciału jakiejś kobiety.

Trup nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Może i właścicielka zwłok była młoda, ale nawet za życia nie mogła pochwalić się urodą. Wyniszczona niekończącą się miesiączką, dobita przez wysysającą z niej substancje odżywcze ciążę, wyglądała tak, że śmierć musiała być dla niej wybawieniem. Nikogo w końcu nie obchodzi śmierć brzyduli. Śmiercią kogoś pięknego, kogoś, kogo chciałoby się zaliczyć, przejmuje się każdy.

- Ciekawa choroba – powiedział Kosmonauta. – Jaka zaraza wywołuje podejrzenia gardła? I takie okaleczenia?

W tym świecie? Po tym wszystkim, co się dotąd wydarzyło? Pewnie zwykła grypa. Przeziębienie. Katar. Nawet zwyczajne zapalenie migdałków.

Ale w ciemnościach nawet zwłoki mogły być jedynie wytworem umysłu. Każde ciało znikало w mroku, kiedy tylko robiliśmy kilka kroków. Zostawało gdzieś za nami, skoro jednak go nie widzieliśmy, równie dobrze mogło wyparowywać. Skoro nie był z nami, skoro nie wlekliśmy go ze sobą, każdy trup mógł po prostu nadal żyć i uciekać.

Przynajmniej wiedzieliśmy, że umrzeć jeszcze się da. Że śmierć nadal jest pewna.

Cokolwiek jednak zabijało, nie widziało w ciemnościach. Wirus, człowiek, bakteria czy to, co urodziliśmy, potrzebowało widzieć co robi, dlatego wykańczało ludzi w pobliżu źródła światła. Nie zjadało ich, nie pożerało, chyba nawet nie gwałciło, po prostu skracało ich męki.

- To nic, czym można by się było przejmować – powiedziała Renka, a mi przypomniało się, jak jakiś czas temu mówiła niemal dokładnie to samo.

Byliśmy wtedy w domu, tkwiliśmy w tym mieszkaniu odwróconym do góry nogami, a ona zajadała coś, co wyglądało jak pospiesznie zrobiony hot dog i masując się po brzuchu twierdziła, że:

- To nic, czym trzeba by się było przejmować.

Było mi niedobrze, wszystko mnie bolało, rwało, chyba krwawiłem, a ona mówiła:

- Nigdy nie byłam w ciąży.

I jadła dalej, a sos spływał jej po brodzie. Sos albo ketchup ściekał z jej ust, mijał podbródek i kapał na biust, w świetle lampki na baterie cienie tych kropeł rozbijały się o sąsiednią ścianę.

Byłem właśnie w toalecie. Siedziałem na parapecie i wypinając goły tyłek za okno, wystawiając go na to, co czaiło się w mroku zanim w końcu znów nadszedł dzień, próbowałem się wypróżnić. Nie ważne jednak czy winna była dieta, czy ciąża, prze którą ledwie byłem w stanie tkwić w tej pozycji i nie spaść do kosmosu, nie byłem w stanie nic zrobić. Nic.

Napinałem się więc, aż wszystko bolało. Zbierałem w sobie siły i parłem, zagryzając zęby, a w głowie narastało mi wywołane wysiłkiem ciśnienie. W uszach czułem szum, pod czaszką tętniło mi, przed oczami pociemniałoby, gdyby już nie było ciemno, a ja nadal spinałem się i próbowałem osiągnąć sukces. Bo nawet zmaganie się z zaparciem było lepsze, niż siedzenie z Renką i Małolatą. Było lepsza, niż słuchanie ich. I mogło ostatecznie przynieść ulgę.

A potem nagle coś we mnie puściło. Coś trzasnęło, strzeliło gdzieś wewnątrz mnie, jak strzelić może jelito człowieka, który w wyniku wypadku samochodowego zaplątał się wnętrznościami w kierownicę albo wajchę biegów i teraz siłą próbuje się oswobodzić. Poczułem ból, poczułem jak moje jelita opróżniają się, jak ich zawartość wystrzeliwuje w kierunku nieskończonego wszechświata, a potem następuje ulga.

Nie miało znaczenia, że krwawiłem. Że gdzieś tam wewnątrz coś się uszkodziło. Osiągnąłem sukces i tylko to miało znaczenie.

I dopiero, kiedy wstawałem, kiedy podciągałem spodnie i stawałem na nogi, to właśnie wtedy zorientowałem się, że mój brzuch jest jakiś sflaczały. Że wisi jego skóra, wciąż wzdęta, ale zdecydowanie pusta w środku.

Urodziłem. To ni było zaparcie, tylko poród. Męczyłem się chyba z godzinę, jęcząc i napinając się aż ciśnienie krwi dudniło pod czaszką tylko po to, by wysrać



z siebie płód. Wyrzucić go w kosmos, wystrzelić jak w starej grze internetowej, gdzie pociskami były dzieci, a bronią rodząca matka.

Spojrzałem przez okno, wyjrzałem w ciemność, ale cokolwiek ze mnie wyszło, zniknęło gdzieś w mroku. Pewnie było już w połowie drogi na Księżyc. A może zmierzało w stronę Marsa. Albo w kierunku jednego ze sztucznych satelitów, by rozbić się o niego na kawałki, kiedy mróz przestrzeni kosmicznej zmieni jego ciało, każdą komórkę składającą się na cokolwiek to było, w wyjęty z zamrażalki ochłap mięsa.

Zniknęło, jakby nigdy go nie było.

- Jaka ciąża? – zapytała Renka, kiedy wróciłem i zapytałem o jej sflaczały brzuch.

- Co ty pierdolisz? – odpowiedziała pytaniem Małolata, masując się w okolicy pasa.

Obie były blade i spocone, jakby dopiero co skończyły uprawiać ostry seks.

- Nie wiem o czym ty w ogóle mówisz – ciągnęła wdowa po Romanie, zajądając hot doga.

- Myślisz, że taka dupa jak ja, mogłaby zająć w ciążę? – pytała Małolata. – Przecież to by mi zniszczyło figurę.

Zapytałem o kałuże krwi i czegoś, co wyglądało jak wody płodowe, rozlewające się w okolic foteli, na których siedziałyby. O czerwone plamy ściekające po tapicerce. O identyczne ślady ciągnące się w kierunku okna.

- To sos – powiedziała Renka.

Aż tyle sosu?

- Lubię dużo – wyjaśniła. – To nie zbrodnia.

- Sugerujesz pojebany świrze, że zabiłyśmy rzekomo urodzone dzieci? – zapytała Małolata, kiedy wskazałem na ślady prowadzące do okna. – Twierdzisz, że byłybyśmy zdolne wyrzucić noworodki przez okno? Jesteś jakiś chory! Za kogo ty nas masz?

I pokręciła głową.

- Dobry hot dog – powiedziała wdowa po Romanie, krzywiąc się jakby coś ją bolało. – Chcesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Okej, to zrób i sobie, i nam – powiedziała Małolata.

- Tylko nie żałuj sosu! – dorzuciła Renka, a potem dodała: - To nic, czym trzeba by się było przejmować. Te plamy się spierze. Mam dobry środek do czyszczenia, dasz radę przywrócić wszystko to pierwotnego stanu.

Tak samo, jak dodała teraz:

- To nic, czym można by się było przejmować. Ludzie chorują. Ludzie umierają. Tak to już na tym świecie jest.

I szła dalej przed siebie, a my wędrowaliśmy powoli za nią, dalej szukając jakiegoś przejścia do bardziej cywilizowanej części świata.

## KRZYCZĄCY ZLEPEK KOMÓREK

*Krzycz i wrzeszcz, i się wydzieraj,  
Po co myśleć, rozum po co.  
Wrzaśnij, w sobie nic nie zbieraj,  
Ryj otwarty miej dniem, nocą!*

- Pozytywki

Tak spełniają się marzenia. Tak rodzi się spełnienie. Tak dzieje się, kiedy spełnione zostaną nasze sny. Człowiek zaczyna krzyczeć. Zaczyna wrzeszczeć. Zaczyna się drzeć, bo jest mu zwyczajnie za dobrze.

Krzyk i wrzask zaczynają się nie wtedy, kiedy nam czegoś brakuje, tylko kiedy nie brakuje nam niczego i zaczynamy wynajdować sobie problemy.

Spójrzcie tylko w przeszłość, na te wszystkie strajkujące kobiety domagające się prawa do aborcji, twierdząc, że to prawo do decydowania o sobie. Wcześniej chciały głosować, chciały mieć równe prawa, ale kiedy je dostały, zabrakło im celu, więc musiały jakiś znaleźć. Nie wystarczyło im prawo wyboru, że mogą decydować czy chcą uprawiać seks, czy nie. Nie wystarczyło im prawo wyboru antykoncepcji. Wybierały seks, wiedząc z czym się to wiąże, a jednak miały potem pretensje, że zaciążyły i chciały coś z tym zrobić. Chciały się pozbyć zlepeków komórek, twierdząc że to nie człowiek. Żadna z nich nie umiała jednak odpowiedzieć z czego, jak nie z komórek sama się składa. Żadna z nich nie umiała wyjaśnić dlaczego nie można dokonać na nich eutanazji bez ich zgody, skoro są tylko zlepkiem komórek.

Więc krzyczały, bo kiedy nie masz argumentów – krzyczysz. Kiedy jesteś zbyt głupi by coś wyjaśnić – krzyczysz. Kiedy jesteś zbyt ograniczony intelektualnie, by wyjaśnić cokolwiek w formie dyskusji, zaczynasz krzyczeć, by nikt nie doszedł do głosu. A krzyczysz, bo wszystko, co chciałeś ci się ziściło, jest ci za dobrze, ale chcesz więcej więc wynajdujesz problem, którego umotywowania nie posiadasz. Musisz więc się drzeć.

Bo wszystkie marzenia spełniają się we wrzasku.

Spójrzcie tylko na gwałcicieli, którzy chcieli pokazać że ich ciało, to ich wybór. Że mogą wsadzić dowolną jego część w kogoś innego, bo przecież mają prawo do wyboru. Jeśli zgwałcili jakąś niepełnosprawną dziewczynę, podlegającą ich kurateli, to nie był nawet gwałt, bo była od nich zależna tak, jak płód zależny jest od kobiety, która nosi go w sobie. To nie było przestępstwo, a dokonanie

wyboru. Owszem, mogli iść do agencji towarzyskiej, mogli umówić się z jakąś nimfomanką na pozorowany gwałt, ale to byłoby ograniczanie ich swobody wyboru, dlatego nie mogli pójść tą drogą.

Seryjni mordercy też powinni mieć prawo do protestowania. Nie mogli ponosić konsekwencji za to, że dokonali wyboru między zabiciem, a nie zabiciem. Dlaczego mieli ograniczać się tylko do oglądania krwawych filmów i grania w brutalne gry? Dlaczego mieli być zmuszeni do oglądania ofiar wypadków w internecie, do wyszukiwania egzekucji dokonywanych przez islamistów? Im należał się prawdziwy wybór bez ponoszenia prawnych konsekwencji. Zresztą pozbywali się tylko zlepków komórek, prawda?

Dlatego powinni wyjść i protestować. Wyjść i krzyczeć. Spełniać swoje marzenia.

Na ulice powinni wyjść pedofile – powinni dostać prawo uprawiania seksu z nieletnim zlepkim komórek zależnym od nich prawnie.

Na ulice powinni wyjść wszyscy ci uczniowie, którzy cierpieli z powodu pozbawienia ich podstawowego prawa człowieka – prawa do wolności – tylko dlatego, że dokonali wyboru i odstrzelili kilku uczniów i nauczycieli, składających się przecież tylko z komórek, niczego ponad to, niczego ludzkiego, co mogłoby kwalifikować ich jako człowieka.

I każdy z nich powinien krzyczeć. Naziści, których ograniczeni, zaściankowi alianci z europejskiego ciemnogrodu prześladowali tylko za to, że zdecydowali się wybrać taką, a nie inną drogę postępowania. Komuniści, którzy chcieli zjednoczyć ludzi, ale świat tego nie rozumiał i zaczął ich nękać. Wszyscy ci terroryści, którzy wrzeszczeli za pomocą bomb i karabinów, by ich rozpaczliwy krzyk niosący idee, w które wierzyli, przedarł się do uszu głupiego, ograniczonego tłumu. Pijani kierowcy, którzy jedynie dokonali wyboru, by napić się przed podróżą.

Oni wszyscy powinni wyjść na ulice i krzyczeć głośno, bo krzyk towarzyszy spełniającym się marzeniom.

I tak było właśnie w przypadku Kosmonauty. Leciał w kierunku kosmosu, spadał w stronę nieba, wymachując rękami i nogami i krzyczał. Wrzeszczał. Darł się.

Spełniał swoje marzenie. Unosił się w powietrzu, lecąc w kierunku Księżycy, a z jego ust słychać było nieustające wycie. Głośne, ale monotonne. Świdrujące, ale nudne.

Bo tak już zawsze jest z krzyczącymi – są głośni, ale że nie mają nic do powiedzenia, że nie ma w nich za grosz niczego interesującego, że ich paplanina

to zlepek słów zasłyszanych tu czy tam, ale niezrozumianych zupełnie, wszystko to nudzi. Człowiek patrzy na nich i ziewa.

I tak samo ziewałem ja, patrząc jak Kosmonauta spełniał właśnie swoje wiekopomne marzenie.

## CZARNE DZIURY TALII I BIUSTU

*Uwierz we mnie, do mnie się módl,  
Całą swą wiarę między nogami złoż,  
Zapomnij kim jesteś, oddaj się,  
Módl się do mnie, we mnie uwierz.*

- Born to be Waldek

- Nie ma wiary innej, nie ma wiary bardziej słusznej niż nasza! – krzyknął przywódca sekty, a jej członkowie przyklasnęli jego słowom. Przyznali mu rację, wydając z siebie nieartykułowane wrzaski.

W ciemności rozświetlonej jedynie blaskiem jakiejś znalezionej nie wiadomo gdzie latarki, wszyscy oni wyglądali jak zbita, falująca masa. Jeden organizm złożony z niepołączonych ze sobą członków, jak każda podobna zbieranina, zdawał się posiadać jedynie kilka nielicznych komórek mózgowych, a i te najwyraźniej dzielone były między nich wszystkich, tym bardziej osłabiając ich zdolności umysłowe.

- Nasza wiara jest jedyna i słuszna nie na tej samej zasadzie, co wszystkie inne jedyne i słuszne wyznania! – krzyczał przywódca. – My wiemy, w co wierzymy, bo spotkaliśmy naszego boga! Widzieliśmy go, dotykaliśmy, rozmawialiśmy z nim! Przekonaliśmy się o tej boskości na własnej skórze!

Tłum wznosił okrzyki, kiwając przy tym swoimi głowami, a kiedy ci tworzący go ludzie tak robili, byli jak wszyscy inni im podobni. Byli, jak ci śmieszni sekciarze, którzy odebrali sobie życie, bo jakiś debil z mikrofonem powiedział im, że tak dostąpią zbawienia. Byli, jak ci zaangażowani politycznie idioci, którzy stoją na wiecach politycznych i machają chorągiewką z nazwą partii albo kandydata, co gorsza wierząc, że może powiedzieć cokolwiek prawdziwego, chociaż nie zdarzyło mu się to, odkąd tylko wydał pierwszy, fałszywie brzmiący krzyk.

Stojąc tak i słuchając, stojąc tak i krzyząc, stojąc tak i machając rękami i potakując głowami, niczym nie różnili się od patriotów sterczących na państwowych obchodach, którzy niczym nie różnili się od pozbawionych mózgu fanów metalu, wrzeszczących w trakcie koncertów i spijających szczyzny oddającego na nich ze sceny mocz wokalisty.

- Nasza wiara jest jedyną naprawdę żywą, bo nie wymaga od nas wierzenia – przekonywał przywódca sekty. Mówił z taką gorliwością, z takim przekonaniem

i pewnością siebie, jak mówić mogą tylko osoby kłamiące. Jak mówić mogą tylko politycy, przywódcy religijni albo nauczyciele, którzy zapewniają nas, że wiedza o budowie komórek albo znajomość wzorów prezentujących prawa fizyki przyda nam się w dorosłym życiu codziennym.

Małolata patrzyła na nich tak samo, jak patrzyłem ja. Seksowna nastolatka, oświetlona blaskiem konającej latarki, jakby był to blask zapalniczki na koncercie, w którym nikt nie chciałby uczestniczyć, ale uczestniczą wszyscy, bo tak nakazuje im instynkt stadny. Ten instynkt, jakiego nie zdołali wyeliminować przez miliony lat ewolucji, chociaż jednocześnie szczycili się, że są ludźmi myślącymi i świadomymi.

W ciemności, w słabym blasku ognia czy żarówki, każda kobieta staje się seksowniejsza. Bo tak, jak podobne oświetlenie potrafi wydobywać na świat wszystkie wady, potrafi podkreślić zmarszczki i niedoskonałości, ukazywać wszystkie zamaskowane makijażem wypryski, rzucając ich cień na skórę, tak i potrafi podkreślić wszystkie kształty. Jeśli oświetlić odpowiednio, nawet małe cycki mogły wyglądać imponująco. Nawet obwisły i płaski tyłek mógł wydawać się jędrny i seksowny.

Światło w ciemnościach, padające pod odpowiednim kątem było niczym, zdjęcie instagramerk, na których odpowiednia perspektywa zmieniała ich zbite, kwadratowe ciała o krótkich nogach, w figurę miss piękności. Było niczym Photoshop, który tak wygładzał zmarszczki, że z twarzy znikwały nosy ich posiadaczek, a rzeczywistość zakrzywiała się wokół tali i biustu, jakby to były czarne dziury.

Było niczym te słowa polityków i słowa sekciarzy, którzy potrafią tak zakrzywić rzeczywistość, że białe staje się czarne, a czarne białe. Niczym słowa faceta kierowane do kobiety, którą chce przelecieć.

- Wiesz, że niczym się od nich nie różnisz? – powiedziała Małolata.

Ale jeśli ktokolwiek na tym świecie nie różnił się od reszty osób swojej płci, swojej kategorii i swojego wieku, byli to nastolatki. Nikt, nawet dzieci, nawet stare panny i starzy kawalerowie, nie pragnie poklasku i akceptacji tak bardzo, jak oni. Nie ma w istnieniu ludzkości drugiego takiego okresu w życiu człowieka, kiedy człowiek aż tak bardzo przejmowałby wszelkie, nawet najdurniejsze cechy. Nie ma drugiego takiego okresu, przez który każdy tak bardzo zatraciłby własny charakter, tak usilnie próbowałby się dostosować do reszty, jatren, zwany nastoletnością.

- My dotykaliśmy naszego boga – opowiadał przywódca. – Patrzyliśmy na niego. Na naszą boginię, kobietę idealną.

Patrzyli na swój cud i ideał. Dotykali go. Wielbili.

- Naszą panią, naszą boskość - Renatę! – wykrzyczał swoje wyznanie wiary przywódca, a reszta mu zawtórowała.

Renatę. Renkę. Wdowę po Romanie. Boginię.

To była jej sekta. Sekta jej wyznawców. Kościół oddanych jej zwolenników, którzy wierzyli w nią, bo wierzyć nie musieli. Wyznawali ją, bo tylko to, co namacalne, co daje nam dowód, tylko to jest godne aktu uwierzenia weń. Człowiekowi niepotrzebna jest wiara oparta na zaufaniu i wewnętrznym przekonaniu, więc wierzy w to, co namacalne. Co może zobaczyć, dotknąć, przelecieć.

Nie miało znaczenia, że Renki nie było już z nami. Nie stała w tłumie. Nie stała obok. Nie kryła się za kulisami. W tym mroku, w ciemności, w tunelach, Renka już nie żyła. Nie oddychała, nie poruszała się, nie istniała. Została po niej jednak wiara. To wyznanie, które przypominało, że kiedyś biło jej serce, jej płuca wciągały powietrze by wydychać dwutlenek węgla, a śluzówka jej pochwy ociekała wilgocią.

- My nie musimy wierzyć, jak inni – krzyczał przywódca – bo tylko my wierzymy w boga, który na tyle uwierzył w nas, że zstąpił między nas samych i stał się jednym z nas.

Tylko oni. Jedni, jedyni. Wybrani.

Kiedyś też byłem takim bogiem, jakiego wyznawali. Kiedyś to do mnie mogliby wznosić swoje modlitewne okrzyki. Kiedyś, całe wieki temu, a może jedynie tygodnie, może stulecia, a może miesiące, w tamtym czasie byłem prawdziwym bogiem. Takim, który zaistniał sam z siebie, w chwili kiedy miał skonać. Który wybawił sam siebie od śmierci.

Byłem lepszym bogiem od Renki, bo nie potrzebowałem wyznawców. Nie potrzebowałem kultu, sekty, religii. Byłem bogiem samowystarczalnym, bo wierzącym w siebie, jak wierzyć mógł tylko bóg.

I może byłem nim nadal, skoro Renka już nie żyła, nie istniała, a ja stałem tu, trwałem, oddychałem, bo w końcu byłem bogiem żywym. Może byłem nim nadal, a oni, cała ta sekta, ci wyznawcy, wszyscy oni, nawet jeśli nie byli tego świadomi, wznosili swoje modły do mnie.

Przestałem ziewać.



## ZAROBKI KURWY

*Prostytutka dobrze żyje,  
Dobrze zarabia, często aż tyje,  
Między posiłkami spermą dokarmiana,  
I jeszcze dzieci ma do sprzedania!*

*Zostańcie prostytutkami,  
Zostańcie kurwami!  
Patrząc na was i tak  
Niewiele wam brak...*

- Flufferki

Renka była tak mokra, aż ociekała lepką wilgocią. Śliska i kleista. Gorąca. Rzadko kiedy taka bywała. Rzadko kiedy jej śluz był tak biały i ciągnący. Rzadko kiedy płynęło z niej tak, jakby ktoś wcześniej w niej doszedł i sperma zaczęła opuszczać jej ciało kropla po kropli, niewielkimi strużkami.

- Podstawą dobrego seksu jest odpowiednie dopieszczenie kobiety – powiedziała.

Moje palce ślizgały się po jej miejscach intymnych, przesuwały w górę i w dół, pozwalając wargom sromowym ocierać się o przestrzeń między palcami, a ona opowiadała:

- Seks nie jest w końcu dla faceta, tylko dla kobiety.

Śluz miała gęsty i lepki. Białawy śluz pachnący czymś żywym i sztucznym zarazem. Czymś na skrzyżowaniu zapachu rzeki i chloru.

- Facet chce poruchać, chce się spuścić – mówiła Renka, podczas gdy ja lizałem jej piersi – ale żeby to zrobić, musi się postarać.

Jej zdaniem tylko głupia kobieta, tylko pozbawiona mózgu idiotka, której szare komórki ledwie radziły sobie z kontrolowaniem oddychania, bicia serca i w miarę skoordynowanego poruszania się, mogła chcieć dawać, nie mając nic z tego.

- Jeśli dziewczyna nie ma orgazmu – przekonywała – to jest zwykłą prostytutką, która robi to tylko dlatego, że albo wypada, albo ma z tego jakieś korzyści.

Według jej słów, które wpadały mi do uszu, ale nie zostawały na dłużej w głowie, taka przedstawicielka płci pięknej była zwykłą, tanią kurwą. A nawet

czymś stojącym jeszcze niżej, bo dobra kurwa przynajmniej lepiej zarabiała na udawanych jękach.

Sutki już jej sterczały, ale jak zwykle wołała bym lizał ją po piersiach, pod piersiami, bym językiem zataczał kręgi wokół obwódki dookoła nich, niż brał je do ust. Bym wciągał między wargi te sztywne zwieńczenia jej biustu. A niech bym tylko spróbował obracać je w palcach. Gnieść je i ścisnąć.

- Seks powinien być dostępny dla faceta dopiero, kiedy kobieta jest już zaspokojona – mówiła żona Romana, oddychając coraz ciężiej. – Im zależy na tym najbardziej. Dziewczyny chcą dopieszczania. Facet powinien się więc cieszyć z tego, że w ogóle może pieścić kobietę.

Że może dotykać jej piersi. Że może wdychać jej zapach. Smakować ją. Że może oglądać jej cipkę i lizać ją. Że ma szansę wsunięcia języka między te pośladki, za którymi na ulicy oglądali się inni mężczyźni, i pieścić nim jej odbył. W końcu gdyby nie ona, nawet za to musiałby płacić.

Powinien skakać ze szczęścia, że ktoś taki pozwala mu w ogóle doprowadzić się do orgazmu.

- Seks to największa waluta na świecie – opowiadała Renka, a moja dłoń pieściła jej cipkę. – Seks to największa broń.

Facet nie może żyć bez seksu, więc powinien robić wszystko, co tylko chce kobieta, żeby go dostać. Nieważne, że istnieją ciągle napalone przedstawicielki płci pięknej, nawet one powinny traktować te czynności jak coś, co robią dla faceta z wielką łaską. Jak coś, co ten musi sobie wywalczyć. O co zabiegać.

- Tu nie chodzi o dobre traktowanie, tylko o władzę.

Mężczyzna musi czuć się gorzej od kobiety, musi być od niej słabszy i zależny. Musi być uzależniony od jej cipki gorzej, niż od jakiegokolwiek narkotyku. Dla tego różowego otworu, wilgotnej ciepłej dziurki, musi być gotów zrobić wszystko, kiedykolwiek kobieta tylko zechce.

- Jeśli tak nie jest, winna jest tylko kobieta – mówiła Renka. – Idiotka, która nie powinna być nawet nazywana przedstawicielką swojej płci.

Bo prawdziwy feminizm to nie wywalczenie prawa do aborcji. To nie wywalczenie sobie prawa do głosowania. To nawet nie zdobycie takich samych zarobków na posadach, na których kobiety robią mniej od mężczyzn. Prawdziwym feminizmem było rządzenie wszystkim tak, aby nikt nawet nie miał pojęcia, że jest rządzony. Prawdziwym feminizmem jej wychowanie sobie mężczyzn tak, by robili wszystko co chcesz, przekonani że sami wpadli na ten pomysł.

Prawdziwym feminizmem było sterowanie tak tymi głupimi kobietami, które nawet nie dbały o swój orgazm, by robiły to, czego oczekują od nich te prawdziwe, jedyne słuszne przedstawicielki swojej płci.

- A teraz mnie przeleć – powiedziała Renka, rozkładając szerzej nogi.

To, co wypływało z jej cipki, co spływało spomiędzy warg sromowych i wsiąkało w pościel pod jej pośladkami, ta biała substancja, ten pachnący wodą i chlorem śluz, tak bardzo przypominała spermę, że nikt nie uwarzyłby, że mogło to być coś innego.

- Robiłaś to już dzisiaj z kimś? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

- A co za różnica. Chcę żebyś mnie przeleciał.

Też wzruszyłem ramionami – w końcu robiłem z nią, przy niej, dla niej, o wiele dziwniejsze rzeczy – i wszedłem w nią, czując jak wilgoć z jej środka wylewa się, jak wylewała się woda z naczynia, do którego wciskało się tłok.

## HITLER – OBROŃCA BOGA

*Musisz być pierwszy, najlepszy zawsze,  
Musisz przeskoczyć tych, co przed tobą.  
Musisz być długi, najdłuższy właśnie,  
Najlepszy w łóżku, jak inni nie mogą.*

*Musisz być królem, władcą i panem,  
Z tobą ma zrobić, czego z innymi  
By nie zrobiła. Masz dać jej ruchanie,  
By zapomniała, że inni byli.*

- Born to be Waldek

- To, że ludzie giną – mówiła Renka – to, że umierają, to naprawdę wspaniała wiadomość.

Miała na myśli wszystkich tych zamordowanych przez zapalenie gardła osobników, których mijaliśmy w kanałach. Tych ludzi z podciętymi tętnicami szyjnymi, z przeciętymi krtaniami i uszkodzonymi tkankami.

Katar, przeziębienie, zapalenie gardła – cokolwiek to było, było bardzo podstępna choroba.

- Wszyscy powinniśmy się z tego cieszyć – ciągnęła, a gdzieś niedaleko z ciemności dobiegał głos Kosmonauty:

- To nie byłoby spadanie. Spadanie nie stanowiłoby osiągnięcia celu, jaki sobie wyznaczyłem. Byłoby jak realizacja zamierzeń dokonana przypadkiem, a podróż na Księżyc to coś, co skrupulatnie zaplanowałem.

Małolata akurat nie odzywała się. Jadła coś, w ciemności niosło się echo jej mlaskania i to były jedyne dźwięki jakie wydawała. Mokra, lepka odgłosy przeżuwania. Ciche dźwięki przełykania, kiedy zmieszana ze śliną papka pokarmowa, która zatraciła już swój kolor, przesuwiała się w głąb gardła, żeby zniknąć gdzieś w zupie kwasów żołądkowych i wędrować potem dalej. Gdyby dotyczyło to faceta, nieważne czy wąsatego grubasa w sweterku w rąby, czy modela z kaloryferem na brzuchu, byłoby obrzydliwe. Ponieważ jednak przeżuwała dziewczyna, ponieważ to ślina nastolatki mieszała się z jedzeniem, ponieważ to nastoletnia przedstawicielka płci pięknej przełykała, połykała, było czymś pięknym. Czymś seksownym. Było czymś.

- Istnieje teoria, że na początku aktu stworzenia istniała tylko jedna dusza – opowiadała Renka.

Kiedy Bóg nas tworzył, kiedy tworzył nas ten wcześniejszy Bóg, nie ja, nie wdowa po Romanie, Jego esencja, Jego boskość, wszystko to było jedną duszą. Wszystkim, czym był On sam. Wszystkim, co się na niego składało.

- Gdyby Armstrong wypadł ze swojego statku na powierzchnię srebrnego globu, nie byłaby to doniosła chwila. Nie byłby to ten wielki skok dla człowieka – przekonywał Kosmonauta, a Renka opowiadała:

- Potem ta dusza została rozdzielona między pierwszych ludzi, a oni, płodząc kolejne potomstwo, rozmięli ją na drobne.

Adam i Ewa mieli po połowie tej duszy. Gdy zaczęli płodzić potomstwo, przekazali im jej część, sami ją tracąc. Ich potomstwo zrobiło to samo, dzieci ich potomstwa tak samo i tak dalej, w nieskończoność, przez cały ludzki ród, z każdym kolejnym pokoleniem, z każdym zrobionym dzieckiem, z każdym urodzonym noworodkiem, ta pierwotna dusza rozmywała się, stając się ułamkiem samej siebie. Ułamkiem, ułamka. Nieskończonym, łańcuchowym ułamkiem, który z każdym kolejnym poziomem coraz mniej przypominał liczbę wyjściową. Który z każdą kolejną dodaną do niego cyfrą coraz bardziej oddalał się od tego, czym był na początku.

- Gdyby twórca teleskopu przyznał, że wymyślił go by podglądać jeszcze bardziej oddalone od niego kobiety, kiedy myły się i przebierały, nie byłoby to tak doniosłym wydarzeniem, jak twierdzenie, że zrobiło się to po to, by odkrywać nieznanne światy – tłumaczył Kosmonauta, podczas gdy Małolata przeżuwała, a tymczasem Renka mówiła:

- To dlatego w obecnie żyjących zostało tak niewiele moralności. Dlatego tak bardzo ludzkość upadła pod tym względem.

Wszystko dlatego, że nie zostało w nich niemal nic z pierwotnej duszy. A mając tylko jej strzępki, ochłapy, mając w sobie jedynie odpadki pierwotnej, boskiej esencji, ludzie musieli się stoczyć. Wszystko przez to, że było ich za dużo. Że zatracili już wszystko to, co tworzyło ich na początku.

- I prawda jest taka, że zawsze liczy się tylko jeden człowiek – powiedział Kosmonauta. – Kto pamięta drugiego, który zszedł na powierzchnię Księżyca? Nikt. Liczy się tylko pionier. Ten jeden jedyny, pierwszy i właściwy. Nikt poza nim.

Małolata otworzyła w tym czasie jakieś opakowanie, wypełniając szelestem ciemność tunelu, a potem zaczęła chrupać. Może chipsy, może orzeszki, a może smażoną kukurydzę. Cokolwiek to było, w ustach nastoletniej dziewczyny z

twardego i strzelającego pod naciskiem zębów, zmieniało się w miękkie i mokre. Zupełnie jak penis, kiedy tylko dochodził między pełnymi, młodymi wargami, by z wzwiedzonego, sztywnego członka przemienić się w miękką, niemal gumową zabawkę.

- Jak mówi jedna teoria – kontynuowała wdowa po Romanie – kiedy na świecie pozostanie tylko jeden człowiek, jedna jedyna ludzka istota, znów będzie posiadała całą duszę. Bo kiedy ktoś umiera, jego esencja dzieli się na resztę żyjących.

Kiedy ktoś schodzi z tego świata, pozwala odzyskać reszcie część boskości.

- Kiedy więc zejdą wszyscy, ta, która pozostanie – nie powiedziała „ten”, tylko „ta” – stanie się Bogiem.

Albo kimś równym Bogu.

- Co prawda wynalazca lunety odkrywał nią nowe, erotyczne światy, mógł podglądać kąpiące się małe dziewczynki i dzieci bawiące się w doktora albo wszystkie te prostytutki, spacerujące po zaułkach, ale nikt z ludzi nie przyznałby się że to właśnie ta funkcja była najważniejszą – tłumaczył Kosmonauta, a Małolata gryzła dalej.

- Według teorii – mówiła w tym czasie Renka – Hitler o tym wiedział i dlatego próbował wymordować ludzkość. Bo raz na jakiś czas potrzebny jest kataklizm, który na nowo scali duszę, kondensując ją w grupie wybrańców. Potop. Światowa pandemia. Niekończący się okres.

Według tej teorii Hitler nie był antysemitą. Był obrońcą boskości, obrońcą Boga. Chciał odzyskać tą pierwotną duszę, może nawet po to, żeby uczynić świat lepszym. Nie dyskryminował nikogo, po prostu musiał od czegoś zacząć, a antysemityzm był wtedy modny. Modna była nienawiść do czarnych i cyganów, i komunistów także. Potem rozwinąłby to na innych, w końcu na całą resztę, ale po prostu mu na to nie pozwolono.

- Oczywiście jest też teoria, że Żydzi popełnili zbiorowe samobójstwo, a chcieli obwinić o wszystko naród niemiecki – powiedziała Renka – ale kto by w to wierzył.

- A ty wierzysz?

W tę teorię o podzielonej boskiej duszy, czekającej tylko aż wymrze ludzkość, by mogła się zjednoczyć.

- Masz mnie za idiotkę? – roześmiała się wdowa po Romanie. – Ja wierzę tylko w siebie.

W nic ponad to. W żadne teorie spiskowe, dziwne przekazy i słowa ludzi.

- Ale są tacy, którzy wierzą.

Istnieją tacy, dla których jest to religią. Sensem życia.

- Tak, jak wierzą, że ktokolwiek, jakakolwiek kobieta mogłaby ich zechcieć. Jak wierzą, że kobiety w ogóle do czegośkolwiek ich potrzebują, skoro nawet nie potrafią ich zaspokoić.

Jak wierzą w słowa ludzi.

Wzruszyłem ramionami. Kosmonauta zamilkł. A Małolata dalej chrupała swoją przekąskę, jakby nic do niej nie docierało.

## KSIĘŻYC, NA KTÓRY WARTO SIĘ SPUŚCIĆ

*Jestem twoim słońcem, jestem twym księżycem,  
Jestem twoim niebem, kwiatem i powietrzem,  
A ty wciąż dostrzegasz tylko cycki, cipkę,  
Tylko mnie doceniasz, gdy się z tobą pieprzę.*

- Paralizatorcki

Śmierć Renki nie była tragedią. Śmierć wdowy po Romanie, była czymś wspaniałym. Cudem. Pięknym aktem, który jej sekta mogłaby nazwać wniebowstąpieniem. Zamiast tego przywódca ludzi, którzy z twarzy mogli być kimkolwiek, którzy z wyglądu pozostawali tak nijacy, że mogli stanowić członków wszystkiego, poza jakąś ważną instytucją, ważną grupą czy stowarzyszeniem, ten przywódca krzychał:

- Nie mogliśmy wierzyć w żadnego boga, bo bóg z założenia jest mężczyzną!

A oni przecież byli hetero. Byli prawdziwymi mężczyznami, którzy mogli wierzyć jedynie w boginię, która przyobleczona została w konkretne, seksowne kształty. Boginię miękką i pachnącą, posiadającą biust, zgrabne nogi, seksowny tyłek i obietnicę sakramentów chleptanych łapczywie spomiędzy jej ud. Obietnicę złączenia się w jej boskości poprzez akt seksualny. Gwarancję doświadczenia raju tu i teraz – wystarczy, że zrobią, co im każe, że wypełnią jej polecenia, zachcianki, że zrealizują plany, jakie ma wobec nich, a otworzą się przed nimi wrota nóg i olśni ich cudowność nirwany doświadczanej już za życia.

Która religia mogła im to dać? Jaka wiara miała taką moc, taką siłę, by oferować cuda spełnienia niemal natychmiast? Wyznanie Renki, jej kult – ona nie twierdziła, że wielka nagroda czeka jej wyznawców po śmierci. Ona była realna, była tu i teraz, a skoro była, mogła zapewnić ją póki oddychali i biły ich serca.

Przynajmniej była do czasu. Przynajmniej dopóki nie zapewniłem jej osiągnięcia pełni boskości. Dopóki nie oderwałem ją od przyziemnej egzystencji, tego wegetowania w ludzkim ciele, jakże niegodnego żadnego boga, bóstwa, nawet świętego czy anioła.

Bo prawda była taka, że dla człowieka żadna siła wykraczająca poza jego rozumienie nie może żyć. Nie może istnieć na tej samej płaszczyźnie, na której egzystuje on sam. Dlatego człowiek, ta niemal bezwłosa małpa, która nauczyła się chwycić patyk w ręce, bo skojarzył się mu z penisem, którym i tak się na co



dzień bawiła, ta istota, która wymyśliła koło, bo nie mogła przestać myśleć o piersiach, nawet jeśli ich nagość była czymś naturalnym – zawsze przecież istnieją lepsze, idealniejsze cycki, nad którymi można by dumać całymi dniami, tygodniami, miesiącami – ktoś taki musiał zawsze uśmiercać bogów. Zabijać ich. Wynosić do niebios, bo tam było ich miejsce. Nie tu, nie między nami. Bóstwa nigdy nie były jednymi z nas, a człowiek z natury jest rasistą. Człowiek nie lubi inności, nie lubi odmienności. Woli zabić boga czy Boga, woli go zamordować, ukrzyżować, bo nie chce patrzeć, że on albo On, a może nawet ona, Ona, ma lepiej od niego. Że może więcej, że więcej potrafi, że jest tym, czym człowiek mógłby być, gdyby tylko zechciał, dlatego lepiej go uśmiercić, dopóki jeszcze jest to możliwe.

Tak robią prawdziwi wyznawcy. Ludzie, którzy chcą wierzyć, którzy chcą mieć wybór, a nie muszą konfrontować się ze świadomością, że ich stwórca rzeczywiście istnieje, a oni muszą ten fakt zaakceptować.

Bo zabijanie nigdy nie było zabijaniem. Zabijanie zawsze było po prostu wyborem, do którego człowiek musiał mieć prawo, więc sam je sobie nadawał. I tak powoli, krok po kroku sam człowiek stawał się w swoich oczach bogiem. Stawał się wszechpotężny, zdolny decydować o najważniejszych rzeczach. Powinien więc zostać wyeliminowany. Zabity. Ukrzyżowany. Zamordowany. Bo nawet taka boskość nie miała prawa egzystencji w ludzkim świecie.

- To dlatego Grecy i Rzymianie, i Egipcjanie mili zarówno bogów, jaki boginie – opowiadał przywódca. – Żeby każdy miał wybór. Żeby kobiety mogły wierzyć w umięśnionych typów o twardych kutasach, którymi mogli je rznąć do utraty zmysłów. Żeby faceci mogli wierzyć w seksowne, piękne kobiety, które może i nie dadzą im seksu – choć kto wie – ale przynajmniej będą latać po niebie, a spod ich strojów wyglądać będą boskie cipki, niczym słońca. Niczym gwiazdy. Niczym przejścia do prawdziwego nieba.

Renka też, choć nie potrafiła latać, choć nie miała takich mocy, takich zdolności, w tej ostatniej chwili swojego życia, wzniosła się na wyżyny swojej boskości i odleciała. Poszybowała w dół, ku niebu. O ile niebo jeszcze istniało w miejscu, które kiedyś wskazywał kierunek wiodący do gwiazd. O ile niebo nie zamieniło się miejscami z piekłem. Ale taki już los bogów i bóstw. Prędzej czy później muszą zstąpić do piekła.

Małolata była gdzieś tam, w mroku, w ciemności, ale stanęła tak, że jej nie widziałem, że nie dostrzegałem jej twarzy ani kształtu ciała, więc równie dobrze mogłaby nie istnieć.

Ale nie potrzebowalem patrzeć na nią. Nie musiałem jej widzieć. Wystarczyło, że w głowie odtwarzałem scenę, jak Renka kuca nad szybem prowadzącym do wjazdu. Jak ściąga spodnie i majtki, a jej goły tyłek, nagie pośladki i srom, wszystko to wystawione zostaje na światło dzienne. Jak kuca tak, kładąc mi trzymać się za ręce, a najważniejsza część jej ciała kieruje się w stronę błękitnego nieba, widocznego na końcu otworu, którego metalowy, porzewiały ciężki właz poszybował w kosmos, gdy Ziemia przestała nas przyciągać. Taka blada i delikatna, jakby chciała zostać nowym Księżycem. Takim, na który warto się spuścić – najlepiej bez użycia liny. Jedynym naprawdę wartym spuszczenia się na niego, dotarcia do niego, poznania go, zgłębienia, odwiedzenia.

- Tylko trzymaj dobrze! – przypomniała.

Jakby mi ufała. Jakby mi wierzyła. Jakby była tak pewna swego, że nie musiała obawiać się, że ją puszcze, że coś jej zrobię. Że pozwolę by cokolwiek mogło się jej stać. Zupełnie, jakby wierzyła, że prędzej dopuszczę by mnie spotkało coś złego, niż ją.

Nawet jeszcze nie zdążyła zacząć sikać, kiedy ją puściłem. Poleciała do tyłu, upadła na plecy, zatykając sobą otwór, ale nie wpadła do środka. Zaczęła wstawać, więc pchnąłem ją. Kopnąłem. Nawet nie zdążyła krzyknąć, a już spadała. Najpierw przez betonowy, brudny od zacieków tunel, potem w kierunku chmur i błękitu. I dalej. W nieskończoność. W kosmos. W wieczność. Ku własnej boskości, własnego wniebowstąpienia.

Ku mojemu triumfowi nad wszystkim co żyło.

- To dlatego pierwotne ludy wierzyły w matkę naturę, a nie ojca! – krzyczał przywódca sekty.

A wtedy Renka powiedziała:

- Przestań sobie wyobrażać moją śmierć.

Wyszła zza rogu, zza załomu tunelu, gdzie poszła się wysikać, oddać mocz w kierunku nieba i rzuciła:

- Nawet nie zaprzeczaj. Wiem doskonale, co chodzi ci po głowie. Myślisz, że moja śmierć by cię ocaliła?

Że jej śmierć pomogłaby mi. Że coś by zmieniła.

Ale prawda była taka, że jeśli Renka była moim wymysłem, jeśli stanowiła jedynie wytwór mojego umysłu, każda moja wyobrażona śmierć, każda wizja jej zgonu i cierpienia, jakie zrodzić mógł mój mózg, musiały być prawdziwe. Nie ważne czy zepchnąłem ją do otworu własnymi rękoma, czy jedynie zrobiłbym to gdzieś w głowie, w obu przypadkach było równie realnym aktem.

To samo dotyczyło seksu. To samo dotyczyło wszystkiego. W mroku, w ciemności, w tych tunelach, prawdą mogło być wszystko, bo wyobraźnia miała tu większe znaczenie, niż wszystko, co odbierało się wzorkiem. Widok żywej Renki nie musiał być więc decydujący. Nie musiał w ogóle świadczyć o tym, że rzeczywiście żyje ona nadal.

- Faceci to idioci – westchnęła Renka i ruszyła przed siebie, w mrok, między członków sekty, aż zniknęła pomiędzy męskimi ciałami, jakby w ogóle jej nie było.

## POWIEDZ

*Powiedz!*  
*(że chcesz)*  
*Powiedz!*  
*(że dasz)*  
*(zrobić możesz)*  
*(ochotę masz)*  
*Powiedz!*

- Born to be Waldek

- Facetowi wystarczy powiedzieć, żeby czegoś nie robił, a na pewno to zrobi – powiedziała Renka, blada, zakrwawiona, konająca Renka, dłońmi ściskając lepką od posoki kierownicę.

Nie wiedziałem ile dni jechaliśmy już przez Polskę. Byliśmy gdzieś między Warszawą, a którąś z nadmorskich miejscowości. Gdzieś między przesiąkniętym spalinami powietrzem stolicy, a plażą, piaskiem i wodą. Roman już nie żył. Romana już nie było. byliśmy tylko my dwoje.

Cokolwiek widziałem wcześniej, musiało być przywidzeniem, musiało być trickiem mojego zmęczonego umysłu, tego mózgu, który czasem, całkiem często, ale przecież nie na tyle, bym miał się tym niepokoić, zapominał o czymś. Skoro myśli wylatywały mi z głowy, równie dobrze mogło mi się coś pomylić, tak jak myliły się człowiekowi zapomniane słowa. Jak myliły się drogi, kierunki czy twarze.

- Powiedz mu, żeby nie ruchał cię w tyłek, kiedy bawicie się sadomaso, a założy ci knebel i będzie rznął w odbyt, udając że to miała być część zabawy – mówiła Renka, a prowadzony przez nią samochód wjeżdżał coraz dalej i dalej w noc zamiejskiej drogi. To nie była niewielka dróżka gdzieś na zadupiu, żadna mała uliczka odchodząca w bok, gdzieś między niskie budynki oddalone od siebie tak bardzo, by można było uprawiać seks przy zapalonym świetle, nie zasłaniając okna, a sąsiad i tak nie byłby w stanie niczego zauważyć. Jechaliśmy normalną szosa, tylko biegnącą gdzieś między lasami. Szeroki asfalt umykał pod naszymi kołami, jakby spłoszony światłem reflektorów, które wycinały z ciemności jego nagość.

Ziewnąłem.

W głowie mi się kręciło od nieustającego upływu krwi. Od niekończącego się okresu i biegunki, które wypłukiwały z organizmu wszystko to, co potrzebne do życia. Każda substancja odżywcza, każdy składnik mineralny, wszystkie one uciekały przez pory skóry, ciekły z nosa wraz z posoką, jak uciekały z nas białe i czerwone krwinki.

- Powiedz facetowi, żeby przestał. Kiedy bawicie się w wiązanie i udawanie, kiedy pozorujecie gwałt, powiedz mu że cię boli i ma przestać, a uda, że to także jest częścią zabawy – mówiła Renka. – Bo każdy facet chce mieć władzę nad kobietą. Chce, żeby ją bolało, a jednak dalej to z nim robiła, bo to oznacza prawdziwą kontrolę. Powiedz mu, żeby przestał, wykrzycz bezpieczne słowo, a i tak to zrobi, a potem powie, że w podnieceniu zapomniał, jak ono brzmiało. Powie, że myślał, że to część zabawy i wcale, a wcale, w ogóle, ani trochę nie miał pojęcia, że mówiła poważnie.

Połknąłem garść leków. Połknąłem kilka czekoladowych cukierków. Popiłem to wszystko jakimś koktajlem o stopniu słodkości przypominającym miód i skupiłem się na tym, by nie zwymiotować. Włożyłem do ust kilka tabletek antykoncepcyjnych, ssąc je, jakby były cukierkami, ale gorzyc, jaka się wówczas uwolniła, bynajmniej nie pomogła na mdłości. Zapiałem więc to wszystko wodą i czekałem.

Nie pamiętałem już gdzie byliśmy, nie pamiętałem ile czasu minęło – przez utratę krwi i wszystkie te leki miałem chyba gorsze problemy z pamięcią, niż zawsze, ale kiedy uzupełnialiśmy zapasy, miałem wrażenie, że Roman na chwilę odzyskał przytomność.

Szukałem leków w jakimś domu, grzebałem po szufladach, w poszukiwaniu przydatnych rzeczy. Ominąłem pokój jakiejś martwej nastolatki, której trup osiągnął właśnie ideał szczupłości, obawiając się, że znajdę jej majtki w szufladach. Że się podniecę i dojdę. Podniecę i zejść. Sprawdziłem kuchnię, sprawdziłem piwnicę, a potem wróciłem do auta, przy którym czekała już Renka i to wtedy wydało mi się, że Roman podnosi się na tylnym siedzeniu. Że jego rozumne, choć zmęczone oczy, jak oczy psa, jak oczy cwanego kota, spoglądają w moim kierunku.

I bum.

Zupełnie, jakby Renka mnie wyczuła. Jakby zauważyła moje odbicie w szybie. Niewielki gest, szybki ruch, zupełnie jakby zdzieliła czymś Romana w głowę, a potem wszystko wróciło do normy.

Musiało mi się to przewidzieć, musiało mi się coś pomieszać, bo kiedy podszedłem do samochodu, mąż Renki leżał na tylnym siedzeniu, jak zawsze.

Leżał i jęczał. Dyszał w kierunku zapasów, pozbawiony świadomości odkąd tylko przekonał się, co potrafi naprawdę intensywny orgazm.

- Powiedz takiemu, żeby nie wchodził na parapet, bo się zabije – powiedziała Renka – to wlezie i się zabije.

Połknęła swoją porcję leków, popijając je tym, czym popił wcześniej ja, a potem ciągnęła:

- I to najlepsza metoda, by się pozbyć faceta. Metoda idealna by zabił się, nie wiedząc, że robi to wmanewrowany przez kobietę.

Powiedz takiemu, żeby nie ruchał cię w tyłek.

Powiedz takiemu, żeby przestał, bo boli.

- Powiedz facetowi, że ma wyjąć, bo masz dni płodne a nie chcesz być w ciąży – mówiła Renka – a na pewno spuści ci się do środka.

Powiedz takiemu, żeby nie otwierał tajemniczego rulonika, kiedy się przebudzi, powiedz policjantom by nie zaglądali do papierowej tubki, bo nie można, a na pewno to zrobią. Zginą. Umrą. Nawet nie będzie trzeba brudzić sobie rąk.

Wystarczy tylko powiedzieć. A potem można jechać dalej, robić swoje.

Na zakręcie zemdliło mnie jeszcze bardziej, więc sięgnąłem po butelkę z wodą.

- Nie radzę – powiedziała Renka. – Napijesz się za dużo i tylko zarzygasz mi tu wszystko.

Ale ja już przełykałem kolejne mililitry wody, wlewając mi się do gardła chłodnym strumieniem.

## **RYTUALNE BLA-BLA-BLA**

*Mogę mówić bla-bla-bla  
A ty będziesz zachwycony,  
Mogę od rzeczy gadać,  
A się zrobisz podniecony,  
Mogę milczeć całe dnie,  
Mogę mówić bzdury same,  
Ty i tak nie słuchasz mnie,  
W głowie tylko masz ruchanie.*

- Kolczyki

- Ludzie uwierzą we wszystko – powiedziała Renka. – Muszą mieć tylko odpowiednią motywację.

Gdyby było inaczej, nigdy żaden polityk nie wygrałby wyborów, bo każdy wie, że składane przez nich obietnice są żartem. Każdy ma świadomość, że cokolwiek pada z ust posłów i prezydentów, wszystkich tych senatorów i kongresmenów, jest czystym kłamstwem, mamieniem ludzi, które ma im zagwarantować wygraną. Który ma im pozwolić wspiąć się na szczyty i czerpać korzyści z tego, co powinno być ich służbą. Ale ludzie wraz głosują. Chodzą na wybory, chodzą na wiece, dają się okłamywać, bo tego chcą. Wolą być oszukiwani i wykorzystywani, byleby tylko mieć potem na kogo narzekać.

Polityka mogłaby się zmienić, jej przedstawiciele mogliby być uczciwi, mogliby szanować ludzi, ale ludzie tego nie chcą. Ludzie wiedzą, że władza ich oszukuje, ale nic ich to nie obchodzi. Zamiast wybrać dobro, wybierają mniejsze zło, bo tak już musi być. Bo tak już jest. Bo trzeba. Trzeba iść na wybory. Trzeba zagłosować. Trzeba wybrać między głównem a odchodami, bo to nasz obowiązek i tyle.

- Ludzie uwierzą we wszystko, bo chcą wierzyć – powiedziała Renka. – Bo muszą w coś wierzyć.

Więc jeśli tylko cokolwiek choć odrobinę przystaje do ich poglądów, uwierzą w to. Albo uwierzą cokolwiek, byle mieć do tej wiary jakąś motywację, jakiś powód.

Szliśmy w ciemnościach, przywódca sekty nie krzyczał już, jej członkowie nie odpowiadali krzykiem, Małolata nie przeżuwała, Kosmonauta obliczał coś w myślach, a wdowa po Romanie opowiadała:

- Dlatego są ludzie, którzy uwierzą nawet w rozcieńczoną duszę...

W Hitlera – obrońcę Boga.

- ... jeśli tylko ktoś ich do tego zmotywuje.

Jeśli takie teorie padną z ust seksownej kobiety, na seks z którą masz ochotę. Masz nadzieję.

Przywódca sekty i jej członkowie nas nie słyszeli tak, jak my ich nie widzieliśmy. Szli gdzieś przed nami, sprawdzając tunele, szukając niebezpieczeństw, które mogłyby zagrozić ich bogini, ich pani, a my powoli snuliśmy się za nimi.

- Jeśli masz taką sektę jak moja – mówiła Renka – jeśli sekta ma taką boginię, jak ja, uwierzy we wszystko. Uwierzy w istnienie rozbitej na cząsteczki duszy, którą trzeba zjednoczyć na nowo.

- Ale to nie jest twoja sekta – powiedziałem.

Renka szła, Kosmonauta coś liczył, Małolata maszerowała w milczeniu, a ja powiedziałem:

- Przecież to sekta Romana.

Bo prawda była taka, że zanim obecny przywódca został przywódcą, zanim ten wykrzykujący frazesy człowiek, którego twarz w mroku nie różniła się od twarzy innych ludzi, stanął na czele sekty, to Roman był jej najwyższym kapłanem. Ten nijaki Roman, drobny złodziejaszek, cwaniak, bloger. To właśnie to miała na myśli Renka, kiedy mówiła mi, że nie mam pojęcia kim on jest. Kiedy opowiadała mi, że tylko ktoś taki może zrozumieć Romana. Zrozumieć jego przydatność dla kogoś takiego, jak ona.

Nigdy nie byłem w tej sekcie. Nigdy nie rozmawiałem o niej z Romanem. Nigdy, nawet z ciekowości, nie chciałem by mąż Renki zabrał mnie na jedno z ich spotkań. Nie kręciło mnie to, nie miało znaczenia, nie miało sensu.

- Nie – powiedziała Renka. – Roman może i założył ten kult, ale to od zawsze była moja sekta.

Od zawsze czekali tylko na nią, nawet kiedy jeszcze nie wiedzieli o jej istnieniu.

- To ja nadałam im cel, więc są moi.

Bo kiedy sekta się rodziła, nikt nie miał pojęcia w co wierzyć. Nikt nie wiedział po co w ogóle powstał taki twór, jak kult, do którego wstąpili. Jedyнным sensem jego istnienia było liczenie na to, że zgłoszą się tam jakieś kobiety. Bo po to zostaje się satanistą. Po to wstępuje się do wszelkiej maści grup, by dostać seks. Rytualny stosunek płciowy z piękną, młodą dziewczyną rzuconą na



wymyślony ołtarz. Ofiara z krwi błony dziewiczej i nasienia, przelanych za jakieś bla-bla-bla, byle tylko uzasadnić potrzebę płciowych interakcji.

Każda religia, która oferowałaby seks, miałaby najwięcej członków. Problem zawsze był jednak taki, że seksu chcieli faceci, chcieli mężczyźni, ale nie kobiety. Dla nich nie było to sensem życia, one poszukiwały czegoś innego, czegoś więcej, dlatego wszelkie sekty, wszelkie kultury opierające się na stosunkach płciowych, wszystkie one cierpiały na nadmiar mężczyzn.

To dlatego sataniści porywali, gwałcili i mordowali dziewczyny. Gdyby mogli uzyskać inaczej to, co chcieli, gdyby kobiety były jak faceci, satanizm miałby lepszy PR i stał się jedną z wiodących religii. Nawet jeśli ktoś nie wierzył w istnienie Szatana, chętnie korzystałby z oferowanego seksu.

I to samo było z sektą Romana. Z tymi facetami, którym nawet nie chciało się wymyślać szat do przywdziewania w trakcie ich mszy. Do sekty zgłosiło się wielu chętnych mężczyzn, ale żadna kobieta. Nikt płci pięknej. Nawet stara, brzydka nimfomanka nie była tak zdesperowana by dołączyć do grupy wyznaniowej, na czele której stał przyszły mąż Renki.

- Beze mnie zginęliby marnie – powiedziała wdowa po Romanie.

Gdyby nie ona, sekta nie miałaby nowych członków. Gdyby nie pomogła Romanowi stać się rozpoznawalnym blogerem, nie miałby najmniejszych szans na rozwinięcie swojego kultu, na zdobycie nowych członków. Nie był na tyle sławny, żeby dołączyły do nich kobiety, dziewczyny, żeby dołączyły do nich chętne seksu nastolatki, na jakie liczyli, ale przynajmniej było ich więcej. Więcej żalonych, smutnych facetów, mogących zjednoczyć się w bólu.

- Beze mnie nie miałbyś nawet tylu fanklubów na świecie – wyjaśniała dalej Renka. – Pewnie nie miałbyś żadnego, gdyby sekciarze nie zakładali ich na całym świecie, wiesz?

Prawda o kulcie była bowiem taka, że z grupy idiotów marzących o tym, by zaliczyć, by wsadzić część swego ciała w coś mokrego i gorącego, a potem zmoczyć to jeszcze bardziej, zmienili się w jej żywą broń. W kolejny etap planu roznoszenia jej zarazy.

- Myślisz, że dlaczego tak mnie wielbią?

Bo była jedyną kobietą, która im dała. Jedyną przedstawicielką płci pięknej, która rozłożyła przed nimi nogi i pozwoliła im stracić dla siebie głowę, stać się jej marionetkami, jej wyznawcami.

A skoro ona z nimi spała, skoro robiła z nimi to wszystko, o czym zawsze marzyli, myśleli, do czego ślinili się dniami, tygodniami i latami, masturbując się nad tanimi magazynami porno i jeszcze tańszymi kobietami z bezpłatnych stron

internetowych, skoro obdarowywała ich tym, czym obdarowywała mnie, roznosili to na cały świat. Jeśli którykolwiek z nich kogokolwiek zdołała potem zaliczyć, jeśli taki cud się wydarzył, choroba niosła się dalej, ogarniając cały świat, aż coś w końcu pękło. Aż coś się stało i nastąpiła apokalipsa, która wciąż trwała i trwała.

- A nawet jeśli cud się nie wydarzył – ciągnęła Renka – korzystali z toalet, z miejsc publicznych, jedli i pili w knajpach, gdzie nikt nawet za dobrze nie mył po nich szklanek. Gdzie sztucce były jedynie przecierane szmatką, o ile w ogóle, a potem wtykane w dania kolejnych klientów.

- I wszystko roznosiło się dalej.

Na coraz większą skalę.

W miejscach, w których pracowali. W miejscach, gdzie sypiali, kupowali albo się wypróżniali. Wszędzie tam gdzie byli, czego dotykali, w każdym z tych miejsc zostawał ślad Renki.

- To nie sekta Romana, sam to widzisz – powiedziała.

Bo to ona ich odnalazła, szukając w internecie właściwych ludzi do realizacji jej planów. Odnalazła, skontaktowała się, sprawiała, że Roman uległ jej, myśląc, że to ona uległa jemu. Sprawiając, że kult, na czele którego nawet już nie chciało mu się za bardzo stać, bo komu chciałoby się angażować, skoro nie czerpał z niego żadnych korzyści, staje się grupą na jej usługi. Stał się jej służącymi, gotowi za kilka minut w jej wnętrzu zrobić wszystko.

Nawet stać się tym podstępny zapaleniem gardła, które kończyło się ranami na szyi i utratą życia.

- Myślisz, że wszyscy ci ludzie leżą tu przypadkowo? – pytała.

Że wszyscy ci z podejrzniętymi gardłami, wszyscy ci chorzy na przeziębienie a może wrastające paznokcie, leżą akurat na trasie, którą idziemy? Którą przecierają dla nas członkowie sekty?

- Myślisz, że to ja zabiłam wszystkich tych ludzi, za których śmierć mnie szukano? – zapytała Renka.

Mówiła o sprawie tego seryjnego mordercy, który podpisywał swoje ofiary literą „K”. Który zabijał jej podejrzewanych o zdradę byłych. Który pozbawiał życia wszystkie te, które odbiły jej facetów, opóźniając realizację jej planów.

- Nie muszą wierzyć w powód, dla którego mają zabijać – powiedziała wdowa po Romanie. – To nie ma znaczenia. Ważne, że będą wierzyć, że kiedy tego dokonają, dostaną szansę na zaruchanie.

Bo nic tak nie ogłupia facetów, jak seks.

Dla tego seksu, który im zapewniał, jak zapewniała Romanowi, by móc kierować sektą poprzez niego, jak – jej zdaniem – oferowała mi, bym sypiał z dziewczynami, których nienawidziła. Jak robiła to z każdym facetem, by stał się jej własnością, kukiełką, jej nieświadomym nawet swojego statusu niewolnikiem. Jej marionetką, przekonaną o posiadaniu własnej woli. Jej narzędziem, myślącym że działa zgodnie z własnymi przekonaniem i planami.

- Prawda o mężczyznach jest taka, że gdy facet nie ma się gdzie ulokować energii seksualnej, w końcu ta rzuca mu się na mózg i skłonny jest uwierzyć we wszystko, byle miał z tego seks – powiedziała Renka, a ja zapytałem:

- Dlaczego udawałaś, że jesteś morderczynią?

Dlaczego udawała, że zabiła wszystkich tych ludzi własnoręcznie.

- Naprawdę jesteś głupie, wiesz? – zaśmiała się, po czym dodała: - Ech, tobie trzeba wszystko tłumaczyć. Dlaczego to zrobiłam? Oczywiście, że dla prestiżu.

Dlatego, że jeśli ktoś się ciebie boi, nieważne czy z powodu twoich morderczych skłonności, czy wpływów, nigdy ale to nigdy taki lęk nie jest dla ciebie in minus. Wzbudzanie strachu to jak najbardziej pozytywna cecha. Pożądana.

- Bo co może być lepszego, niż budzenie w ludziach strachu? – powiedziała.

Na każdą ze zbrodni miała alibi, miała niepodważalne dowody na to, że nie było jej na miejscu, kiedy je popełniano. Ale uciekanie przed policją było niczym umacnianie swojej pozycji na arenie ludzi wywołujących strach. Jeżeli policja wierzyła w jej zbrodnie, jeżeli media się nią chwaliły, by podbić sobie oglądalność, to było jakby wszyscy, łącznie z władzami, realizowali jej plan. Bo przecież wierzyli w to, w co chciała by wierzyli. Ufali jej słowom, jej zachowaniu, jakby byli kolejnymi wyznawcami kobiety, która została żoną Romana.

Poza tym chciała im pokazać, co potrafi. Chciała pokazać im jak są nieudolni. Jeden z jej byłych chłopaków został potem policjantem, więc miała do tego powody. Nie zdziwiłbym się, gdyby to on był jednym z tych, którzy spojrzeli na zrolowane pornosy i doszli na śmierć.

Ale jechała także, by obejrzeć świat. By zobaczyć jak rzeczywistość zmieniała się za jej przyczyną. Jak plan zagłady, który wprawiła w ruch, realizuje się lepiej, niż kiedykolwiek sądziła, że może.

- Kiedy tylko się rozdzielaliśmy, załatwiałam sobie kolejne alibi – opowiadała.

Mówiła o czasach, kiedy podróżowaliśmy nad morze. O tym okresie, gdy jechaliśmy nocą, a świat wydawał się tak martwy, jak gdybyśmy zostali jedynymi ludźmi na świecie. To dlatego zawsze wysyłała mnie w inne miejsca, niż szła

sama. Nie tylko po to, bym nie widział, że Roman się budzi. Bym nie wiedział, co planuje. Za każdym razem, gdy gdzieś byliśmy, zostawiała po sobie wyraźne, oznaczone datami ślady, które przed każdym sądem doprowadziłyby do jej uniewinnienia. Robiła zdjęcia, zostawiała informacje w komputerach – niby pozorne, niby przypadkowi, jakby nie miała pojęcia, co w tym czasie robi jej sekta – jakieś wiadomości dla ludzi, którzy mogliby je potem znaleźć, jakby chciała zostawić coś dla potomnych.

- Przecież mogli cię wydać – powiedziałem tak, jakbym stwierdzał, że w tunelach jest ciemno. Cokolwiek się działo, jeśli dotyczyło Renki, nie było w stanie mnie zaskoczyć. Nie było w stanie zdumieć mnie. Cokolwiek się do niej nie odnosiło, było po prostu równie oczywiste, jak prawa fizyki.

Szliśmy więc dalej, Małolata znów zaczęła coś podjadać, coś popijać, a Renka powiedziała:

- A kto by im uwierzył?

Zresztą chodziło o to, że nawet nic im nie mówiła, nie kazała. Sami to zrobili, kiedy tylko wspomniała o tych ludziach z jej przeszłości. Nawet nie musiała ich do niczego przekonywać.

- To był ich pomysł.

Tylko ich. Tylko i wyłącznie ich idea, na którą absolutnie wpadli sami, by ukoronować swoją boginię. By uczcić swoją panią. By pokazać, co potrafią. Ona nie miała z tym nic wspólnego. Ona była ofiarą ich działań taka sama, jak ci, którzy zginęli. Nie miała pojęcia, że mogą zrobić coś tak strasznego. Och, panie policjancie, panie prokuratorze, wysoki sędzie, jestem taka biedna, nie miałam pojęcia, że to tak straszni ludzie. Myślałam, że to tylko zwykli koledzy mojego męża, a oni... oni... Gdybym wiedziała, chlip-chlip, gdybym tylko wiedziała, nie bym przy nich nie wspomniała. Dobrze, że mój mąż rejestrował wszystko na nagraniach wideo, bo nikt by w moje słowa nie uwierzył. Dlaczego to robi? Nie mam pojęcia, ale teraz, kiedy już nie żyje, kiedy go nie ma, a ja wiem o tym wszystkim, podejrzewam że wiedział, co to za ludzie i w razie problemów chciał mieć na nich haki. Kto wie, może mu grozili? Może go czymś szantażowali?

- Po co w takim razie wróciłaś? – zapytałem, słysząc odgłosy przeżuwania. Słyszając mamrotanie Kosmonauty. A Renka powiedziała:

- Przecież już wiesz.

Ale prawdą było też to, że chciała spotkać się z sektą, bo plany kultu zawsze były takie, że w to w mieście, gdzie żyliśmy, gdzie mieszkaliśmy, gdzie spotkała Romana, że to właśnie tu będą wszyscy na siebie czekali, gdyby coś się wydarzyło. A po co miała kontynuować swój plan, swoją misję samotnie, skoro

miała na usługach cały zastęp ludzi? Skoro miała wiernych wyznawców gotowych dla niej na wszystko?

A wszystko po to, byśmy mogli znaleźć się w tym miejscu. Tutaj. Wędrując przed siebie, pozornie bez celu, pozornie bez sensu. Szukać ocalałych. Szukać innych ludzi. Niedobitków tego, co miało ich wykończyć. Wyniszczyć, ostatecznie odsyłając z tego świata.

- Po co? – zaśmiała się. – Tak po prostu.

Bo mogła. Bo była w stanie. Bo miała ku temu środki i możliwości, choć wydawało się, że nie miała nic. Że taka zwykła kobieta, jak ona, nie mająca funduszy, jakimi mogą chwalić się mocarstwa, nie jest w stanie dokonać Armagedonu.

- Bo nie lubię ludzi.

Bo ludzi nie da się lubić. Ludzie to porażka.

- A każda metoda pozwalająca się ich pozbyć, pozwalająca oczyścić z nich planetę jest czymś dobrym.

Czymś pożądanym. Czymś wspaniałym.

Pięknym, ekologicznym aktem. Dowodem dobroci, bo skoro ludzie byli tacy źli, tacy beznadziejni, skoro sprowadzali na świat i innych ludzi tylko to, co najgorsze, pozbycie się ich musiało być aktem wspaniałości. Bo czymże innym, jak nie dobrocią, jest walka ze złem? A przecież złem właśnie byli. Niczym innym, niczym ponad to.

- Prawda, że nie spotkałeś nigdy kogoś tak cudownego, jak ja? – zapytała Renka.

I sama zaczęła coś jeść.

## W PEŁNI MIESIĄCZEK

*Jesteś wampirka wysysającą ze mnie nasienie,  
Nieowłosioną wikołaczką, co co miesiąc krwawi.  
Wiecznie sfochaną księżniczką, której nie zamienię,  
Bo kto taką co daje, mógłby chcieć zostawić?*

- Born to be Waldek

Szliśmy przez mrok, przez ciemność, jak gdyby nigdy miało już nie istnieć światło słoneczne, jak gdyby to światło słoneczne miało zawsze być poza naszym zasięgiem, widoczne gdzieś w otworach studzienek kanalizacyjnych. Szliśmy tunelami, jak gdyby nie istniało nic poza nimi. Jak gdybyśmy już nigdy nie mieli dotrzeć do żadnego budynku, nigdy nie mieli zobaczyć trawy ani innych żywych ludzi, kiedy Renka powiedziała:

- Ten lubił, bym udawała, że wyskrobię dziecko.

I wskazała palcem na członka sekty, którego nie odróżniłbym od innych.

Małolata dogryzała w tym czasie Kosmonaucie, mówiąc:

- Pewnie nigdy żadna nie chciała ci dać, to uciekłeś w świat nauki.

A Renka kontynuowała:

- Kiedy mnie pieprzył, zawsze bez gumki, kazał mi mówić, jak bardzo nie chcę zajść w ciążę. Chciał, żebym płakała i błagała, żeby tego nie robił, a jednocześnie pozwalała mu się spuścić. Tylko wtedy dochodził.

- Trochę twój plan średnio wychodzi – powiedziałem.

Chodziło mi o ten plan pozbycia się ludzkości. Dobicia resztek naszego gatunku. Wyeliminowania zarazy.

Kilka trupów w kanałach, kilka zwłok tu i tam to nieco za mało na osiągnięcie sukcesu. Masowe ludobójstwo, jeśli ktokolwiek przeżyje, jeśli po świecie wciąż będą chodzić ludzie, nie jest spełnione. Wszystko albo nic. Bo jeśli człowiek osiągnie tylko połowiczny sukces, jeśli uda mu się częściowo zwyciężyć, niewiele się to różni od przegranej.

To tak, jakby zamiast kary śmierci ktoś dostał karę dożywotnich tortur.

To tak, jakby zacząć uprawiać seks z piękną dziewczyną a nie móc w nią dojść.

To tak, jakby wyleczyć się z przerzutów raka, ale zostawić guza, który zabija człowieka.

- Może nie do końca wyszło idealnie – powiedziała Renka – ale w końcu realizacja każdego planu wymaga czasu.

Może miesiące, może lat. A my po prostu szliśmy przed siebie, tunelami, nadal nie mogąc znaleźć wyjścia, próbując znaleźć jakieś przejście do dowolnego budynku, dowolnego miejsca innego, niż tunele, kanały ściekowe i żałosne pozostałości po dawnych epokach. Tak musieli czuć się powstańcy, kiedy szli w błocie i gównie, wiedząc już że robią to na darmo. Że popełniają samobójstwo i tylko cierpieć będą przez nich niewinni – wszyscy ci zabici w odwecie przez Niemców ludzie będą ich przeklinać i opluwać, ale oczywiście nie mogą przyznać, że źle robią. Więc robili to dalej, udając patriotyzm, udając że mają jakiś cel w życiu, choć tak naprawdę patriotyzmu na wojnie nie ma – jest tylko chęć zabijania i wściekłość – a w życiu patriotyzm nie jest niczym więcej, jak głupotą. Ta beznadziejna wiara, że trzeba umrzeć za kraj, który zawsze miał cię w dupie. To idiotyczne przekonanie, że trzeba bronić ludzi, którzy sami chętnie wrzuciliby cię do trumny.

- Zobacz tego. – Renka wskazała kolejnego członka sekty, który równie dobrze mógł być jej przywódcą, jak i najniższym stopniem rekrutem, skazanym na czyszczenie kibli szczoteczką, nawet jeśli nikt już nie korzystał z sedesów. – Kupił w sieci sztucznego kutasa zrobionego na wzór końskiego penisa.

Taką zoofilską zabawkę, czarną, ale im bliżej żołądki, tym mocniej przechodzącą w czerwień, zakończoną kanciastą główką, jakiej nie mają żadni przedstawiciele homo sapiens.

- Trzepał zawsze kapucyna – opowiadała dalej Renka – spuszczał się do takiego pojemniczka, który podłączał do tego końskiego dildo i ruchał mnie tym sztucznym kutasem.

Masturbował ją plastikowym, długim niczym przedramię i niewiele cieńszym wibratorem odlanym na kształt jakiegoś kopytnego zwierzęcia, które zapewne po zdjęciu z niego odlewu, wróciło na plan arabskich pornosów. Tych filmów, na których chuda biała blondynka przytwierdzona do specjalnego stelaża, rozpychana jest końskim penisem, który tryska w nią potem, niczym szlauch podłączony do odkręconego do maksimum kranu.

- Pewnie każda się z ciebie śmiała, więc wolałeś udawać, że interesuje cię kosmos, a nie cipki – mówiła do Kosmonauty Małolata, a Renka opowiadała:

- Kiedy znów mu stawał, zaczynał ścisnąć pompkę podłączoną do dildo i tryskać we mnie, a potem pchał mi kutasa do ust i znów dochodził.

Czasem wyciągał z niej ten wibrator, przysuwał jej do ust i patrzył, jak robi loda z połykiem replice końskiego przyrodzenia. Albo jak ten czarny, lateksowy narząd strzela na jej twarz.

Bo to było prawie tak, jakby robiła to temu koniowi. Jakby robiła to z tym koniem. Może inaczej smakował, może inaczej pachniał, ale to był prawie że, niemalże, nie do końca ale jednak tamten koń, który posłużył producentom zabawki za wzór.

Było z nim niemal tak, jak z lizaniem kobiety. Kiedy ją pieścisz, kiedy całujesz, kiedy zanurzasz się głową między jej uda, to tak jakbyś zabawiał się z jej matką. W końcu kiedyś była w tej kobiecie, która ją urodziła, przeciskała się przez pochwę, przesiąknięta wilgocią z wnętrza jej macicy, zupełnie jakby sama była jej płcią. I nieważne ile by się potem myśla, ile by minęło od tej chwili, wciąż gdzieś tam mógł zostać na niej choć cień jej własnej matki. Sromu jej rodzicielki. Bo skoro człowiek nie potrafił gołym okiem dostrzec spranych plam krwi, skoro nie był w stanie wyczuć zapachu tej krwi w ocenie, chociaż nawet rozpuszczona w toni kropla potrafiła działać na rekiny z wielu kilometrów, czemu nie mogło być tak, że tu nie czuł po prostu jej matki, ale ta wciąż na niej była. Zapachem. Smakiem.

Tak samo było z repliką końskiego penisa. Z odlewem, zapach z którego, smak z którego rozcieńczył się na niezliczonych ilościach kolejnych lateksowych wersji niczym ta pierwotna dusza, ale wciąż był obecny. Wciąż istniał. Wciąż trafiał do organizmu kobiety, swoimi mikrodrobinkami.

Tak samo było z lizaniem cipki – nieważne czy pieściło się oralnie kobietę w najbardziej wilgotne płodne dni, czy tuż przed miesiączką, jej poprzedni okres wciąż mógł zostawiać swój ślad gdzieś tam w środku, gdzieś w załomkach skóry. Pod napletkiem łechtaczki, nawet doskonale wymyłym. Między włosami. Gdziekolwiek.

- Tamten – Wdowa po Romanie wskazała kolejnego takiego samego, nijakiego faceta i kontynuowała: - chciał, żebym mu trzepała na placu zabaw dla dzieci.

Prawda o facetach jest bowiem taka, że im bardziej niepozorny i cichy, tym większy z niego zboczeniec. Ci, którzy najwięcej mówią, gadaniem nadrabiają to, czego brakuje im w życiu. Ci, którzy siedzą cicho, milczą, bo o pewnych rzeczach lepiej nie mówić. Tacy najczęściej nie mają kobiety, bo nie ma kobiety, która dorównałaby ich wizjom.

Chyba, że byłaby to Renka.



- Siadaliśmy na ławce niedaleko placu zabaw, zawsze mając coś, co trzymał na kolanach – opowiadała dalej – on patrzył się na dzieci, a ja mu trzepałam.

A potem on spuszczał się, patrząc jak nieświadome niczego małe dziewczynki siedzą po turecku w piaskownicy, ukazując swoje małe, dziecięce majteczki.

Sekta szła przed nami, choć teraz już bliżej, niemal na wyciągnięcie ręki. Sylwetki jej członków majaczyły w mroku, gdzieś poza zasięgiem naszych głosów. Nie miałem pojęcia, jak Renka ich rozpoznawała i czy rozpoznawała w ogóle. Może wskazywała pierwszy lepszy cień i opowiadała to, co przyszło jej do głowy, a może rzeczywiście ich rozróżniała. W końcu człowiek umie poznać krewnego, członka rodziny, dowolną bliską mu osobę po sposobie poruszania się, po samym cieniu sylwetki, po jakimś geście, a kto jest bliższy, niż ten, z którym się sypia?

- Albo zobacz tego – mówiła wdowa po Romanie, jakbym był jedyną osobą w jej otoczeniu. Jakby Małolata nie istniała, a Kosmonauta nie był nikiem godnym kierowania do niego jej słów. – Ten wkładał we mnie tylko czubek i chciał, żebym mu trzepała aż dochodził w środku. Zawsze kazał nazywać siebie chujem, którego nikt nie pomieści w całości i kiedy próbował skończyć, ssał mi sutki tak mocno, jakby chciał, żeby popłynęło z nich mleko i krew.

Nie wiem czy mówiła prawda, czy chciała mnie prowokować. Chciał wywołać we mnie zazdrość. Dobić tak, jak dobić próbowała odbierając mi boskość, ale kobieta, która dla facetów godziła się na wszystkie te rzeczy, w oczach faceta, któremu je dawała, musiała być wszystkim. Musiała być cudem, jakiego nie dało się wyobrazić. Czymś boskim. Kimś, dla kogo zrobić chce się dosłownie wszystko.

- A ten? – powiedziała Renka, jakbym o kogoś spytał, jakbym kogoś wskazał albo chociaż zasugerował. – Ten był nudny. Lubił, jak wsadzałam mu palec w dupę, kiedy dochodził.

Fakt. Nuda.

- A może chciałeś ruchać własną matkę? – zapytała Małolata, patrząc na Kosmonautę, który liczył coś pod nosem. – Tylko była tak brzydka, że rzygałeś na jej widok, więc wolałeś zostać kujonem.

Że uciekł w świat aseksualnej nauki, by odciąć się od erotycznej strony życia, która tak go zwiódła.

- Ale przynajmniej takich pojebów łatwiej nakłonić do wypełnienia misji – powiedziała Renka, śmiejąc się.

Nie byłem już pewien czy mówi o sekcie, czy Kosmonaucie. Czy opowiada o członkach kultu Romana, czy towarzyszącym nam Astronaucie, którego jeszcze jakimś cudem nie dosięgło nawet zdradliwe zapalenie gardła.

- Nie uda wam się – powiedział Kosmonauta.

Wdowa po Romanie parsknęła.

- Już nam się udało. Spójrz tylko na świat.

Niech tylko spojrzy na to, co zostało z ludzkości. Na to, jak wygląda życie – czy to zwierzęce, czy roślinne – na planecie, którą nazywaliśmy niebieską.

- Zobacz, do jakiego stopnia udało mi się zniszczyć to wszystko – powiedziała Renka.

Do jakiego stopnia udało nam się dokonać tego pięknego aktu oczyszczenia Ziemi.

A Kosmonauta parsknął:

- Przecież to nie ty tego dokonałaś.

Zaśmiał się:

- Nikt z was nic tu nie zrobił. To naturalne zjawisko. Jeszcze nie zbadane, nie zgłębione, zaskakujące, ale naturalne.

Twierdził, że ani ja nie byłem bogiem, ani Renka boginią. Że żadne z nas nie wypuściło na świat zarazy, nie uśmierciło miliardów ludzi, ani nie sprawiło, że planeta zaczęła odpychać wszystko w kosmos, jakby to czarna pustka przyciągała wszystko tak, jak ciemność korytarzy przyciągała nas.

- Pamiętacie od czego się to zaczęło? – zapytał Kosmonauta.

Małolata nie śmiała się już z niego, Renka nie opowiadała o seksualnych preferencjach członków sekty.

- Od miesiączki.

Od okresu. Niekończącego się okresu, który nawet ktoś z incydentami zapomnienia, ktoś taki jak ja pamiętał doskonale.

- A co ma wpływ na cykl menstruacyjny?

Co poza hormonami reguluje comiesięczny wpływ krwi z dróg rodnych kobiety.

- To samo, co kontroluje wodę w jej organizmie – przypomniał Kosmonauta tonem, jakby kiedyś był nauczycielem. Wykładowcą. Panem profesorem. – To, co kontroluje przyływy i odpływy.

Słuchaliśmy, co też zrodziło się w jego głowie. Co mu się uroiło.

- Księżyc – powiedział. – Miesiączek, jak go kiedyś nazywano.

Miesiączek w pełni. W pełni miesiączek. A może Miesiączek?

- On ma wpływ na miesiączkę. On ma wpływ na ludzi. Na Ziemię.

Na wszystko, co nas otacza.

- To tylko natura. Fizyka. Astronomia.

Tylko nauka i biologia, nic więcej.

- Od niego się zaczęło i na nim się skończy. Zobaczycie.

Jego zdaniem to nie była nawet zaraza, żadna ogólnoświatowa choroba, bo żadna nie roznosi się tak szybko, nie działa tak ogólnoświatowo. Nie atakuje na raz całego kobiecego świata.

- To mógł być tylko albo skoordynowany atak terrorystyczny, albo naturalne zjawisko – powiedział Kosmonauta.

Media miały wiele teorii. Ponieważ żadna grupa terrorystyczna nie przyznała się do zamachu, podejrzewano, że winny wszystkiemu może być najbardziej pechowy człowiek świata. Podejrzewano, że to kosmiczne promieniowanie. Podejrzewano, że działania feministek albo piosenki Born to be Waldek. Może winna była Święta Dziewica od Niepokalanego Poczęcia, a może nadnaturalna działalność.

- Prawda jest jednak taka – ciągnął Kosmonauta – że winny jest Księżyc. Od niego wszystko się zaczęło, od anomalii, którą odkryli jakiś czas temu naukowcy, i na nim się skończy.

Żadna wielka filozofia. Żadna wielka zagadka.

Żadna działalność człowieka, nawet posiadającego boskie moce. Nic takiego, nic w tym stylu.

Odpowiedzi na największe zagadki w dziejach ludzkości zawsze są rozczarowujące.

- To po prostu nowy cykl księżycowy – przekonywał nasz towarzysz. – I wkrótce zacznie się na nowo, o ile oczywiście to jego koniec.

- Chcesz odebrać mi moje zwycięstwo, ale ci się to nie uda – zaśmiała się Renka. Wiedziała lepiej, więc nie musiała go słuchać. Słuchać kogoś, kto chciał się zemścić za słowa Małolaty.

- Cokolwiek powiesz i tak nie zmieni stanu rzeczy – wzruszył ramionami Kosmonauta. – A prawda jest taka, że nie osiągnęłaś niczego.

Może miał rację, a może nie. Nie wiedziałem. Faktem było, że nie rozbiła samolotów o siebie. Że nie wsiadła na pokład i nie przejęła kontroli nad sterami, by zderzyć jeden z drugim. To prawda, że nie włamała się do wieży kontroli lotów i nie skierowała dwóch pasażerskich maszyn na kurs kolizyjny. Że wtedy, w Warszawie, po prostu odjechaliśmy spod Okęcia, a reszta wydarzyła się sama, jak wiele podobnych wypadków i katastrof na całym świecie, ale...

To prawda, że jedynie myślała o tym, że mówiła, jednak nie zrobiła tego, ale...

- Chciałabyś, żeby było inaczej, ale... - zaczął Kosmonauta, a potem spełniło się jego marzenie.

Przechodziliśmy obok kolejnej studzienki, tuż obok wjazdu wychodzącego prosto na niebo pod naszymi stopami, kiedy Renka pomogła spełnić naszemu towarzyszowi jego piękną ideę dostania się na Księżyc. Przy niej nie potrzebował liny, nie potrzebował zbiornika z tlenem ani zabezpieczeń. Zbędny był mu kombinezon, jak zbędny był hełm.

Wystarczył tylko pchnięcie, drobny ruch ramion, a Kosmonauta, już spadał z krzykiem, w kierunku nieba, spełniając swoje marzenie tak, jak spełnia się wszelkie marzenia – wrzeszcząc bez sensu. Przez chwilę jeszcze objął się w studziencie, odbijał od betonowych, brudnych ścian, jeszcze przez moment miał może nadzieję, ale potem wyrwał się poza okrągły otwór i już mknął w kierunku kosmosu, w kierunku Księżyca, krzycząc, jak liczni odkrywcy wykrzykiwali przed nim *Eureka* albo *Spokojnie, to nie może wybuchnąć...*

I wtedy znów się to stało. Jakby przypominając o moim pechu, jakby na złość wszystkiemu i wszystkim, sufit znów stał się podłogą a podłoga uciekła gdzieś nad nasze głowy.

Studzienka kanalizacyjna w jednej chwili znalazła się nad naszymi głowami, a dno tunelu niespodziewanie znów okazało się jego podłogą. Jego spodem.

Zupełnie, jakby kosmos znów przestał nas przyciągać. Zupełnie, jakby Ziemia na powrót stała się tym, po czym możemy chodzić. Jakby znów, po raz kolejny, raz jeszcze wszystko albo wróciło do normy, albo stało się jeszcze gorsze. Doczekało się powrotu do starego stanu, albo kolejnej katastrofy.

I wtedy coś spadło. Coś uderzyło niedaleko okrągłego wjazdu nad nami, krzycząc i jęcząc, a Renka zaklęła:

- Kurwa mać!

I zaległa cisza.

## ZAWODZĄCY DUCH

*Kiedy byłem mały, wielka rzecz się stała,  
W naszej wsi podlaskiej cud wielki się zjawił.  
Budka toi-toiowa z nagle zaistniała,  
Szczyt architektury – nikt nie śmiał aż marzyć.*

*Weszłem więc do środka, ach jakie to piękne!  
Jakie to wspaniałe, ach cuda tam jakie,  
Niby wszystko swojskie, a jednak odmienne,  
Korzystać aż szkoda – bawcie się dzieciaki!*

*Więc się ja bawiłem, zachwyty tak chłonałem,  
Gówna na siedzisku, szczyny na podłodze,  
Jak w dżunglę prawdziwą coraz głębiej brnąłem,  
Zachwycony taki, że ja cię nie mogę!*

*Ten zapach, te widoki, te kupy wspaniałe,  
Cały mój kierunek życia wyznaczyły,  
Potem o tym życie całe swe śpiewałem,  
Tym kierunek disco polo wytyczyłem!*

- Dyskoteczki

- To nie było przypadkowe wydarzenie – zajęczał gdzieś głos ducha, głos kogoś przypominającego głos Kosmonauty. Upiorne zawroźnienie dobiegało gdzieś z boku, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Po co zresztą przywiązywać wagę do słów ducha, skoro duchy nie istnieją?

Powierzchnia Ziemi wyglądała, jak wyglądała zawsze. Zniknęły tylko wszystkie śmieci. Wszystkie samochody, śmietniki i rowery. Teraz wszystko to, co znajdowało się na świeżym powietrzu, a nie było przytwierdzone do czegoś stabilnie umocowanego w gruncie, wszystkie te łódki i łodzie, statki, pociągi i samoloty, szybowały teraz gdzieś w kosmosie. Zupełnie nowe, nieznanne wcześniej ludzkości pojazdy międzygwiezdne.

Gdyby Kosmonauta żył, gdyby był tu z nami, powiedziałby:

- To naturalny mechanizm obronny planet. Wszystko, co zbędne się oczyściło, teraz nadszedł czas nowej ery.

A może i by tego nie powiedział, ale ponieważ go nie było, ponieważ był tylko jego jęczący duch, ten duch rzekł:

- To, że Ziemia znów zaczęła nas przyciągać w tej właśnie chwili to nie przypadek.

Kiedy wyszliśmy z tunelu, świat wydał się taki jasny. Ktoś zbyt mocno obniżył rzeczywistości kontrast, ktoś inny za bardzo rozjaśnił wszystko, dlatego wszystkie barwy, wszystkie kolory, wszystkie kontury i każda rzecz, wszystko było zbyt wyraźne i niewyraźne jednocześnie.

I wszystko inaczej pachniało. Nie wilgocią, bo niemal cała roślinność zostawiła po sobie suche, ciemne badyle. Nie nasiąkniętą deszczem ziemią. Nie życiem. Ale czystością. Świeżym, czystym tlenem i całą resztą gazów, które wypełniały ziemską atmosferę.

Nie dusiliśmy się, bo chociaż większość roślin zniknęła, zniknęła też większość istot, które zużywały tlen, zastępując go dwutlenkiem węgla. Zniknęły zanieczyszczenia, jak wyparowały góry odpadków z wysypisk śmieci, strąconych boską ręką w kierunku nieba. Zniknął smog. Zniknął brud.

- Widzicie, jaka ludzkość jest chujowa? – powiedziała Renka.

Widzicie, jak świat wyglądałby bez niej?

Jak pięknego aktu czystej dobroci tu dokonała?

Nie powiedziała, co będzie dalej. Nie mówiła dokąd mamy teraz iść. Czy mamy czekać aż umrze cała reszta ludzkości, dbając jedynie o siebie, czy jednak ruszyć na przód i jej w tym pomóc?

Czy mamy stać tu i czekać, aż może nasze dawne śmieci wrócą tu w formie spadających gwiazd, a wraz z nimi przyleci nasze potomstwo, czy może iść dalej? Czekać, aż wszystko to, co spotkało nas do tej pory zacznie się na nowo czy mieć nadzieję, że przyjdzie nowy kataklizm.

- Zabijesz mnie? – zapytałem Renki.

- Każdy kiedyś musi umrzeć – odpowiedziała, podczas gdy duch Kosmonauty krzyczał:

- Myślicie, że co liczyłem cały czas? Ja to przewidziałem! Chciałem wyliczyć, kiedy zacząć swój start, zanim wszystko znów się odwróci, ale przez to, że nie wydostałem się na powierzchnię i nie zgromadziłem sprzętu, nie zdażyłem.

- A Małolatę? – zapytałem.

Ale Renka już milczała, zajęta swoimi myślami. Nie powiedziała, że ją zabije. Nie powiedziała, że jej nie zabije. Nie potwierdziła, że istnieje ani że nie istnieje.

Ale czy to było ważne? Czy to miało znaczenie, w obliczu tego wszystkiego, co się działo, czego doświadczaliśmy i co przeżywaliśmy?

Tak. Do cholery, to było ważniejsze od zagłady ludzkości, do śmierci miliardów ludzi, od upadku wszystkiego, ale i tak nikogo nie obchodziło udzielenie odpowiedzi. Zresztą ta pewnie i tak by rozczarowała. Zawiodła. Wkurzyła.

Zresztą liczyła się tylko wdowa po Romanie. Bo cokolwiek będzie, czegokolwiek nie będzie, co by było i czego by nie było, Renka zawsze znajdzie sposób. Renka zawsze się odnajdzie.

- Poszukajmy jakiegoś discopolowca – powiedziała, klaszcząc w ręce. – W końcu jeśli ktoś zasługuje na zabicie go, to oni a nie takie zespoły, jak Born to be Waldek.

To ci idioci, którzy uważali, że piosenkę można skomponować na trzech klawiszach. Którzy nie umieli grać ani śpiewać. Których teksty prezentowały całkowitą umysłową impotencję. Intelktualną pustkę, zdefektowaną na kartkę papieru.

Gdyby discopolo było malarstwem, na tkaninie nie mielibyśmy obrazów, a zwymiotowane resztki świątecznej sałatki.

Gdyby discopolo było kinem, oglądalibyśmy w nim tylko pulsujące odbyty wypróżniających się psów z biegunką.

Gdyby discopolo miało swój odpowiednik w świecie prostytucji, każdy klient konałby już na AIDS.

- Ich warto pozabijać – mówiła Renka z uśmiechem.

Ich trzeba odesłać z tego świata, by już więcej nie zaśmiecali go swoją egzystencją. A kto miał to zrobić, jak nie my? Jak nie ona?

- Dlatego nie bałem się już powiedzieć ci prawdy o samej sobie, bo co mogłabyś mi zrobić, jak nie zrzucić mnie w otchłań – zawodził gdzieś duch, ale nikt go nie słuchał, jakby nigdy nie było ani jego, ani Kosmonauty, którym kiedyś, w innym życiu, innej rzeczywistości, zupełnie innym świecie mógł być.

## POSŁOWIE

W końcu dobrnęliśmy do finału. Kiedy kończyłem poprzednią część, nie wiedziałem czy kiedykolwiek powstanie ciąg dalszy. Miałem kilka mglistych idei, miałem kilka pomysłów, ale to było wszystko. Czy długo myślałem nad opowieścią? Nie. Czasem, sporadycznie, kiedy jakaś idea zakwitła pod czaszką, zastanawiałem się, jak i gdzie ją wkomponować, co z nią zrobić, w którym momencie użyć. I nagle, w pewnym momencie, wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Zostawało jedynie spisać to, ułożyć, a potem przelać na papier w ostatecznej wersji.

I tak docieramy do tego momentu. Czy to koniec losów bohaterów? Nie. Nadal mam kolejne pomysły, nadal chcę opowiedzieć kilka historii, ale wszystkie one będą już ograniczone do krótkich form, z których część czeka na Was tuż za rogiem.

Michał P. Lipka  
29.12.2020





**POSTARZANIE  
SIOSTRY  
ZAKONNEJ**

## POSTARZANIE SIOSTRY ZAKONNEJ

*Nie ślimacz lasucha, kapucyna nie trzep,  
Konia ci walić nie wolno.  
Zamiast marszczyć pingwina, wiesz,  
Postarz lepiej siostrę zakonną.*

- Born to be Waldek

Tego jesiennego dnia, dnia szarego i nudnego, jak wszystkie dni, dnia mokrego i zimnego, niczym rozmarzająca nastolatka wyjęta z lodówki po trzech dniach leżenia w prosektorium, Renka powiedziała:

- To szczyt rasizmu i homofobii.

Nie powiedziała tego, kiedy szliśmy piaskowym poboczem, ciągnąc ze sobą bagaże. Zanim wyraziła swój krytyczny osąd, stojąc w drzwiach, tuż pod huśtającą się niemrawo żarówką, wędrowaliśmy przed siebie, wlokąc terkoczące kółkami walizki i rozglądając się wokół za właściwym adresem, właściwym skretem, właściwą odnogą. Ale i tak jej słowa stały się kwintesencją tamtego wyjazdu.

- To gorsze rasistowskie gówno, niż *Gwiezdne wojny* – mówiła.

Czasem szosą przejechał jakiś samochód, mijając nas i ochlapując mgłą kropelek wody zepchniętych z powierzchni przedniej szyby pędem powietrza. Mgła osiadała na wilgotnych kurtkach, osiadała na twarzy, przyciągając jeszcze więcej zimna. Wychwytyjąc z powietrza niską temperaturę i przyklejając ją do ciała, starając się za wszelką cenę zagwarantować nam przeziębienie. Katar. Grype. Chore zatoki. Zapalenia gardła. Potem zapalenie płuc. Zapalenie miesienia sercowego. Zgon.

- Jeszcze tylko *Czarna Pantera* tak bardzo znieważa Murzynów – ciągnęła Renka, a Roman powiedział:

- Ale wiesz, że Murzyn to rasistowskie określenie?

Jak na listopad, pogoda wczoraj była wyjątkowo ciepła. Siedemnaście stopni na plusie, gdy drzewa są już ogołocone z liści, gdy ludzie noszą kurtki i czapki, kiedy na ulicach pojawiają się pierwsze kobiety z rękawiczkami na dłoniach, a w sklepach od dobrego miesiąca, może nawet niemal dwóch są już świąteczne produkty, wtedy taka temperatura jest prawdziwym upałem. Ale upał był wczoraj.

Wczoraj świeciło słońce. Dzisiaj temperatura spadła do pięciu kresek powyżej zera, słońce zniknęło, z chmur zaczęły spadać krople wody, pojawił się wiatr...

- Idealna pogoda na wypad – powiedziała Renka.

To był jej pomysł, żeby wakacyjny wyjazd zaplanować sobie w środku jesieni, kiedy będzie zimno i mokro. Żeby właśnie wtedy wsiąść do autobusu, bo przecież nie ma potrzeby jechać własnym autem, może wskoczyć do samolotu, by pokrzyżać nieco nad ziemią, a potem wylądować niedaleko, złapać jakiś transport i dotrzeć do miejscowości, która przez resztę roku równie dobrze mogła być białą plamą na mapie.

- Nieważne, kiedy byśmy nie pojechali – przekonywała – pogoda i tak będzie do dupy.

Mogliśmy wybrać najbardziej pogodny dzień najbardziej upalnego letniego miesiąca, a i tak wszystko by się zepsuło. Pojawiłaby się nawałnica, huragan, trąba powietrzna może, zacząłby padać grad. Zeszłaby lawina błotna. Powódź odcięłaby nas od świata.

- Człowiek nigdy nie ma dobrej pogody, kiedy zaplanuje sobie wakacje – mówiła.

Lepiej było więc pojechać po sezonie. Zupełnie poza porą, kiedy jeździ się na wakacje. Przynajmniej było taniej, przynajmniej nie było tłumów, a wszystko stawało się dostępne na wyciągnięcie ręki. Pod warunkiem, że chciało się, by tak było.

Znaleźliśmy piaskową dróżkę, która odchodziła na prawo od szosy, ciągnąc się między krzakami i zagajnikami. Błoto mlaskało pod naszymi stopami, zalepiało kółka, zmuszając nas do wleczenia walizek przez brunatną breję i przemaczało buty. Aż czułem, jak skóra stóp marszczy mi się w mokrych skarpetach, jak ta woda przesiąknięta słonym potem, jak ta wilgoć nabierająca zapachu wnętrza mojego obuwia, mrozi mi ciało i zmienia podeszwy stóp w różową twarz dopiero co urodzonego dziecka, które dotąd pływało w wodach płodowych.

Przez pięć minut marszu drzewa osłaniały nas nieco przed deszczem, ale dalej były już tylko pola i łąki. Rozległa pusta przestrzeń, która atakowała nas wiatrem i zacinającymi kropelkami, kiedy tylko wyszliśmy poza granicę lasu. I tak aż do samego celu, dobry kilometr dalej.

- *Czarna pantera* to przykład jak wielkimi rasistami są czarni – opowiadała Renka. – Nawet dla własnych ziomków.

Kiedy to mówiła, siedzieliśmy już w ciepłym pomieszczeniu, w którym nikomu siedzieć się nie chciało, ale jeszcze gorzej było wyjść. Kiedy szliśmy mówiła:

- Wakacje zawsze są do dupy, bo albo jest za ciepło, albo za zimno.

A ja rozglądałem się wokoło, po tych płaskich powierzchniach pól i łąk – gdzieś czasem dostrzec można było jakiś zagajnik, jakaś budowla wznosiła się na horyzoncie niewyraźnym w deszczu kształtem, jakiś las rozrastał się nierównomiernie. Wszystko szare, nijakie, rozmyte. Wszystko takie samo. Kiedy deszcz się nasilił, każdy z tych kształtów mógł być dowolną rzeczą. Ten cylindryczny cień gdzieś w okolicy drzew mógł być silosem z głowicą atomową wewnątrz. Bryły jakichś stodół czy innych budynków gospodarczych tak naprawdę mogły być burdelami, klinikami aborcyjnymi, mogły być rzeźniami, gdzie ubijało się ludzi, wędzarniami, gdzie piersi młodych kobiet dojrzewały w dymie olchowo-bukowym.

Renka opowiadała:

- W wakacje okazuje się, że każde miejsce na świecie jest tak samo chujowe.

A tymczasem stożek na polu mógł być górą zarówno siana, śmieci, jak i trupów turystów, których zagazowano tu w sezonie.

Pensjonat wyglądał jak zaniedbany wiejski dom, w który mieszkają emeryci. Tacy emeryci, którzy całe życie pracowali na polu, na roli, doili krowy i zażynali świnię, z których robili rozprowadzane na lewo wędliny, a tymczasem ich dobytek niszczał tak, jak ich ciała przesiąkały smrodem gnoju. Pensjonat był właśnie jak ich mieszkanie, był jak to, co ich reprezentowało, tylko dłuższy, niczym jakiś szkolny pawilon. Niski, długi, swoisty jamnik wśród budynków, posiadający jednak tylko jedno jedyne wejście i niewiele pokoi, sądząc po ilości okien i planie rozkładu pomieszczeń przybitym do ściany tuż przed drzwiami.

- W wakacje każdy autobus jest gruchotem, do którego nie chcesz wsiąść – ciągnęła Renka.

Wcisnąłem dzwonek, zastanawiając się kiedy porazi mnie prąd.

- W wakacje wszyscy współpasażerowie śmierdzą.

Ktoś był w środku, ktoś krzątał się po wnętrzu, skąd przez okna sączył się mdły blask, ale chociaż wcisnąłem i wcisnąłem dzwonek, nikt nie spieszył się z przyjściem. Nikogo nic tu nie obchodziło.

- To akt czystego wandalizmu – powiedziała do mnie Renka, podczas gry Roman kichał. – Torturowanie ludzi.

Nie skomentowałem tego, nie powiedziałem *Na zdrowie* tylko dalej dusiłem przycisk dzwonka.

- Znęcasz się tym brzęczeniem nad niewinnymi właścicielami pensjonatu – tłumaczyła Renka.

Roman przyłożył w tym czasie palec do nosa, przycisnął nim płatek nozdrza do przegrody nosowej, zamykając dziurkę i dmuchnął aż z drugiej wystrzelił glut śluzu. Po chwili powtórzył tę samą czynność z drugim otworem nosa, otarł resztę wierzchem dłoni i jak gdyby nic czekał dalej.

- Może przeszkadzasz im w seksie – mówiła Renka, ale nie chciałem nawet wyobrażać sobie, jak dwoje starych pomarszczonych właścicieli, właścicieli o brudnych nogach, ludzi śmierdzących nietrzymaniem moczu i brakiem sił do higieny intymnej, jak ci ludzie próbują ze sobą kopulować. Jak staruszek wciska zwiędłego, skulonego, miękkiego członka w otwór, który bardziej przypominał surowego indyka, niż coś erotycznego.

Po prostu wciskałem przycisk. Wduszałem. Cisnąłem. I czekałem. Nie przyjechaliśmy tu przecież przypadkiem. To miejsce było specjalnie wyselekcjonowanym celem naszej misji. Misji Renki. Wakacyjnej wyprawy, która miała być kwintesencją wszystkich wakacyjnych wypadów, jakie można zorganizować, jakie można przeżyć, jakich można doświadczyć.

- Spójrz tylko – perorowała żona Romana – Czarni w *Czarnej panterze* mają wszystko. Zaawansowaną technologię, patenty na każdy problem, piękne miasto, bogactwa i co z tym robią? Latają sobie po świecie, wdziewiają lateksowe gacie – widać od razu, że T'Chala to wzorcowy homoseksualista, który podkreśla swoją orientację strojem – a reszta Afryki, reszta świata głoduje, umiera na choroby, ginie w konfliktach. Wakanda mogłaby to powstrzymać, ale ma to w dupie – liczy się tylko to, że im jest dobrze. Rasizm pełną gębą.

Cisnąłem i cisnąłem ten przycisk, we wnętrzu budynku raz po raz odzywał się brzęk, aż w końcu ktoś otworzył drzwi.

- Czego tu? – zapytała kobieta w zaawansowanym wieku. Starowinka w okularach niczym denka od butelki, siwa, że aż biała, niska, skulona. Pokurcz, jaki zostaje z człowieka wysuszonego przez słońce, zmarszczony, przygnieciony i śmierdzący naftaliną.

Wcale nie pomyślałem o niej, uprawiającej seks z podobnym jej niemalże trupem. Wcale nie stwierdziłem, że wyglądałoby to jak nadziewanie padłego na jakąś chorobę drobiu przed pieczeniem. Wcale, a wcale.

- Chcieliśmy zatrzymać się tu na kilka dni – powiedziała Renka.

- Kolejni. Ech. Jest już po sezonie. Nie mamy wolnych pokoi.

- Po sezonie i nie macie państwo żadnego wolnego miejsca?

Staruszka wzruszyła ramionami.

- Mogę was dokwaterować do dzielonego pokoju.
- Dobrze się składa.

Staruszka znów wzruszyła ramionami. Aż dziw, że przy tym geście ręce nie odpadły od jej suchego ciała. Że nie rozpadła się tu, jak mumia, nie rozsypała w proch, niosąc kurzem po podłodze. Nikt by nie zwrócił na to uwagi. Nikt by nie pożałował tej skorupy, która już niemal nie była człowiekiem.

Popatrzyłem na nią. Popatrzyłem do środka, z którego czuć było zaduch ogrzewanych ponad miarę pomieszczeń – tak grzali tylko starcy, którzy nic już nie czuli – nigdy nie wietrzonych, a tym bardziej nie zadbanych. Popatrzyłem na to światło, stłumione, pożółkłe, niemal namacalnie lepkie od brudu, jaki musiał zalegać na żyrandolach. A potem wszyscy troje wtoczyliśmy się za tym suchym zombiakiem do środka.

Pokój, do którego trafiliśmy był duży. Przynajmniej zdaniem właścicielki przybytku. Klitka złożona z dwóch oddzielonych od siebie drzwiami pomieszczeń i dodatkowego wspólnego przedpokoju, w którym ktoś ustawił telewizor, znajdowała się na końcu korytarza pełnego drzwi zapieczętowanych przez jakieś organy państwowe. Może policję, a może sanepid. Może przez jakieś służby zajmujące się zagrożeniem biochemicznym.

Kto otworzył dzielony pokój na gości, wołałem nie wnikać.

- Tu jest idealnie – powiedziała Renka, gdy szliśmy korytarzem. Podeszwy naszych butów lepiły się do dywanu, ściany, które niemal nas dotykały, zdawały się równie lepkie, co spody obuwia. Mdłe oświetlenie ukrywało czy sufit jest brudny czy czysty.

Pokój był niewiele lepszy. U sufitu kołysała się ciemna, rzucająca na wszystko żółte, przygaszone światło żarówka, ale mimo półmroku, mimo tej atmosfery kojarzącej się z planem amatorskiego filmu porno, nie zdołała ukryć zakurzonych czerwonych dywanów wiszących na ścianach. Pod tym blaskiem niczym z filmu, na którym w piwnicy brat posuwa swoją pijaną siostrę, tanie ruskie dywany wydziergane z materiału szkodliwego dla wszystkiego co żyje, te dywany niczym koszmar alergika, wyglądały jak zwymiotowana sałatka warzywna zmieszana z wydzieliną krwawiących wrzodów.

- To będą państwa sąsiedzi – powiedziała starowinka, zwinęła gotówkę i zniknęła. Jeszcze przez chwilę słychać było jej kroki, echo podeszw butów uderzających o podłogę, ale równie dobrze mógł to być jej duch.

- O, urlopowicze! – ucieszył się na nasz widok siedzący przed telewizorem facet. Mężczyzna w średnim wieku, wąsaty, z piwnym brzuchem, brzydką żoną



siedzącą obok i gromadką bachorów biegających z wrzaskiem wokół spojrzał na nas, jakby się cieszył. Jakby miał nadzieję, że jesteśmy trójkąciem, którego jęków będzie mógł słuchać zza ściany, próbując spuścić się w żonę i spłodzić kolejnego potomka, którego powinien oszczędzić temu światu.

- Tu jest nawet lepiej niż myślałam – powiedziała Renka.

A dzieciaki biegały wokół telewizora, drąc mordy i okładając się pustymi rurkami od rolek po papierowych ręcznikach.

- Na długo? – dopytywał mężczyzna. W cokolwiek był ubrany, wyglądało to jak żonobijka wycięta ze starego radzieckiego swetra w romby.

- Jest idealnie – ciągnęła żona Romana, ale Roman milczał.

Wąsacz podrapał się w krocze, odprowadzając wzrokiem Renkę, jej pośladki, jej uda, jej nogi i krzywiznę raju pomiędzy nimi, kiedy wchodziliśmy do naszej części pomieszczenia. Kółka walizek, które za sobą ciągnęliśmy zostawiały za nami ślad błota, mokre, brudne, lepkie tory w dywanie, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. I to właśnie wtedy Renka powiedziała:

- To szczyt rasizmu i homofobii.

Powiedziała:

- To gorsze rasistowskie gówno, niż *Gwiezdne wojny*.

I dodała:

- Jeszcze tylko *Czarna Pantera* tak bardzo znieważa Murzynów.

Przystanęła w drzwiach, obejrzała się przez ramię na telewizor i dorzuciła swój wywód o rasizmie Czarnych.

- Ale to i tak jeszcze większe gówno – tłumaczyła facetowi, a ten udawał, że nie gapi się na jej cycki. Na tę jędrną, sterczącą pod kurtką odmianę obwisłych, sflaczałych piersi jego żony.

Spojrzałem na ekran, gdzie Arnold Schwarzenegger zmagał się właśnie z Predatorem, a żona Romana powiedziała:

- Spójrzcie tylko.

Dzieciaki przystanęły i gapiły się na nią.

- Jak wygląda Predator? – zapytała, a mąż kobiety o sflaczałych cyckach i pełnym rozstępów brzuchu patrzył na jej usta. Nie wiem czy słuchał, czy nie, ale patrzył na nie. Bo kiedy kobieta mówi, to właśnie wtedy facet może bezkarnie patrzeć na jej usta, patrzeć na jej twarz, wyobrażać sobie swojego kutasa między jej wargami, wyobrażać sobie spermę spływającą po nosie, oczach, po policzkach, bo kobieta lubi, kiedy jej się słucha. Bo kobieta myśli, że kiedy mężczyzna przygląda się jej z taką uwagą, to naprawdę interesuje go to, co ma do powiedzenia.

To właśnie dlatego faceci wymyślili to, by kobiety były gadatliwe. Tak długo mężczyźni je tym w popkulturze, w kulturze i podaniach, że po prostu musiały zacząć gadać. Tak, jak musiały zacząć lubić opalanie. Jak musiały wsiąknąć w wymyślony przez facetów feminizm, żeby stać się seksualnie wyzwolone, wyuzdane, chętne i gotowe. Żeby polubiły aborcję, bo kiedy wyskrobie się płód, kiedy uwierzy się, że to nie życie, można się ruchać bez problemów, bez obaw. Bez ryzyka. Można to robić bez gumki, bo jaką przyjemnością dla mężczyzny jest seks w lateksowej osłonce? Kobiecie nie robi to wielkiej różnicy, ale facetowi...

To dlatego mężczyźni tak często namawiali swoje żony, swoje partnerki, swoje dziewczyny na potomstwo. Nie żeby przywiązać je do siebie, bo kobieta bardziej przywiązuje się do dziecka, niż męża. Po prostu chcieli posuwać je bez gumki, a to była najlepszy na to sposób. W końcu każda kobieta chce mieć dzieci. Musi chcieć, bo tego wymagają od niej kultura, świat, społeczeństwo. Ta kultura, ten świat i to społeczeństwo, które przez wieki mężczyźni kształtowali w taki właśnie sposób. Wszystko co robiła płęć brzydka, każda wojna, każda konstytucja, każdy ruch społeczny, wszystko to miało służyć uzyskaniu seksu, jaki chcieli. A kobiety nawet tego nie zauważyły. Ba, spełniły marzenia mężczyzn i jeszcze myślały, że robią to dla siebie. Że wyzwalają swoją płęć. Że zmieniają patriarchalny świat.

- Spójrzcie na ekran – ciągnęła Renka. – Predator jest ciemnoskóry, nosi dredy. Typowy obcy, nie? I na pewno gej – bo kto normalny chodziłby w siatkowym body i gaciach? Walczy o swoje, a biały nazista go zabija. Dlaczego? Tylko dlatego, że jest inny.

Facet patrzył na nią. Dzieci patrzyły. Patrzyła obwisłocyczna żona, a Renka mówiła:

- Chciał nas ubogacić kulturowo. Chciał zmanifestować swoją odmienność, ale my go nie rozumieliśmy. Nietolerancyjne białasy zabiły go, bo po prostu wykończył w dżungli parę zlepek komórek, których matki nie zdążyły wyskrobać, kiedy były w ciąży. Taka jest prawda o tym filmie.

I zniknęła za drzwiami.

- *Obcy: Ósmy pasażer 'Nostromo'* to kolejny przykład rasistowskiego kina – opowiadała Renka.

Był już następny dzień, prawie przestało padać, prawie przestało wiać, a my szliśmy przez teren na tyłach budynku, w którym się zatrzymaliśmy.

- W sezonie mamy tutaj nie lada atrakcje – tłumaczyła mumia, która zarządzała tym przybytkiem, prowadząc nas między wielkimi belami siana,



okrytymi folią. Wysuszone siano spiętrzone w stery, w góry niczym wzgórza śmieci na wysypisku, otaczały nas z obu stron, gotowe runąć i przygnieść każdego, a my człapałiśmy niemrawo błotnistą ścieżką. Tylko bachory naszego sąsiada biegały, drąc mordy.

Roman wsadził ręce do kieszeni i szedł, jakby nie myślał nawet nad tym, co właściwie robi. Jakby jego mózg się wyłączył i jedynie ciało reagowało instynktownie. Zupełnie jakby go tutaj nawet nie było.

- Czarny facet o fallicznym kształcie czaszki chce ubogacić seksualną kulturę białych ludzi na statku i co dostaje w zamian? – pytała Renka, a starszuszka mówiła:

- Gdy nie ma tutaj siana, mamy w tym miejscu wybieg dla zwierząt.

- Ten biseksualny facet w czerni, ewidentnie murzyn, zostaje zabity tylko dlatego, że nietolerancyjna, ksenofobiczna załoga, uważająca że „czarny” równa się „AIDS” nie rozumiała, iż pieszczoty oralne, które im proponował, są po prostu częścią jego kultury i powinni mu na nie pozwolić – wyjaśniła żona Romana, a mąż kobiety o obwisłych cyckach nie odrywał od niej wzroku.

- Mamy tu nawet pingwiny – powiedziała mumia.

- Żywe? – zainteresował się wąsaty mężczyzna.

- Pewnie zmarszczone – zarechotał Roman, a Renka powiedziała mu:

- Określenie „marszczyć pingwina” jest niemodne. Lepiej byłoby powiedzieć: „postarzyć siostrę zakonną” – a potem dodała: - Albo weźcie *Uciekaj*. Ktoś wam powiedział, że ten film jest antyrasistowski? To dlaczego na koniec okazuje się, że tylko czarnym mieszano w mózgach? To jawna sugestia, że biali są za mądrzy by ulegli podobnym praktykom!

- A tutaj – zaprezentowała emerytka, kiedy dotarliśmy do jakiegoś ogołoczonego z liści zagajnika pełnego ciemnych, nadgnitych drzew – w sezonie organizujemy poszukiwania dla dzieci. Można znaleźć słodycze i różne pamiątki.

- Widzieliście może *Kolor purpury*? – zapytała Renka, kiedy szliśmy dalej. – Tam czarni znęcają się nad czarnymi, bo najwyraźniej sami nie trawią własnej rasy. I jak to mamy odczytywać?

- A tam – powiedziała zombiaczka, wskazując ręką gdzieś na horyzont, gdzie za gałęziami drzew, za mgłą albo dymem, który snuł się nad łąkami, unosił się jakiś bliżej nieokreślony kształt – mamy naszą największą atrakcję. I to otwartą nawet teraz! Gotowi ją zwiedzić? – zapytała, a jej wysuszone usta niemal pękły przy tym.

A Renka powiedziała:

- Wracamy.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną mówiąc:

- Tu nie ma nic do oglądania.

Więc poszliśmy za nią.

Następnego dnia już pakowaliśmy się do wyjazdu. Zabraliśmy ze sobą więcej rzeczy, niż potrzebowaliśmy, większości nawet nie rozpakowaliśmy, nawet nie zajrzeliśmy do niektórych skrytek toreb. Nie było po co. Może gdybyśmy mieli tam jakieś jedzenie, może wtedy grzebalibyśmy w nich trzy razy dziennie, ale zdaliśmy się na tutejsze wyżywienie. Nie żeby mi przeszkadzało, nie żeby było gorsze od tego, co próbowałem w życiu, ale...

- Przynajmniej nie będziecie mieć problemów z zaparciami – powiedziała Renka.

Na tym polu też miała rację.

Rodzice dzieciarni nie przejmowali się niczym. Mieli ze sobą nocniki, więc dzieci większość czasu siedziały na nich przed telewizorami. Najczęściej wtedy, kiedy reszta chciała jeść.

- Prawda o *Cube* jest taka – opowiadała wtedy Renka – że to film o procesie wypróżniania. Coś wlało jedną dziurą, błąka się po jelitach, jest odsysane, a potem wyłazi drugą dziurą prosto w światło. W nieznanie.

Gdyby istniała strona, gdzie pedofile polecają sobie konkretne miejsca, ten przybytek byłby wysoko w czołówce. Ten pokój z dziećmi, które ściągały spodenki i majtki i siadały na nocnikach. Wystarczyło wyjść do pokoju, uchylić drzwi, patrzeć na to przez dziurkę od klucza i robić swoje. A potem pogłaskać te dzieci po głowie, ręką umazaną czymś, co bachorom w ich wieku musiało kojarzyć się jedynie z budyniem.

- Przynajmniej czujemy, że mamy przewody pokarmowe – opowiadała Renka, zajądając coś, co mogło być wszystkim.

A potem spakowaliśmy się, uregulowaliśmy należność za wysoką, jak na te standardy – tu każda opłata byłaby zbyt wysoka – i już nas nie było. Zniknęliśmy z tamtego miejsca, jakby nas nigdy nie było. Budynek i pola, lasy i droga, łąki i wzniesienia, to wszystko zniknęło, jakby istniało tylko dopóki my tam byliśmy. Jakby cały świat istniał tylko wtedy, kiedy na niego patrzyliśmy.

- Mówiłam wam – powiedziała Renka. – Wakacje są przereklamowane.

Twierdziła, że gdybyśmy pojechali w sezonie, było tak samo tylko drożej.

- Nic byśmy nie zobaczyli, bo wszystkie atrakcje są tak oblegane, że nie ma co próbować ich odwiedzać – tłumaczyła, wyjaśniając dlaczego nie

odwiedziliśmy jedyne, co było tu wciąż otwarte. Jedynej rzeczy, która mogła mieć jakiś sens.

A my szliśmy w deszczu, zmierzając na przystanek, gdzie mieliśmy stać i moknąć, marznąć i dać się przewiewać, podczas gdy autobus spóźniać się miał w nieskończoność.

- Zawsze byłaby zła pogoda – opowiadała Renka, tak jak mówiła:

- *Ghost Dog* to kolejny rasistowski film, obśmiewający czarnych i Francuzów. Zobaczcie, że tam obaj nawet nie próbują się dogadać. Olewają zrozumienie innych, zamknięci w swej rasowej niechęci do samodoskonalenia.

- Zawsze byliby sąsiedzi, których chciałoby się zabić.

Zawsze pokój byłby tragicznym przeoczeniem sanepidu. Jedzenie bez wyjątku byłoby groźącym śmiertelnym zatruciem głównym, serwowanym po zawyżonej cenie.

- To wszystko propaganda – mówiła.

Nie ważne biała czy czarna.

- Homo czy heteroseksualna.

Transseksualna czy feministyczna.

- Albo wakacyjna.

Wszystko to tylko propaganda, a tak naprawdę nic się nie różni.

- Wszyscy biali i czarni – mówiła – żółci i czerwoni, homo czy hetero, feministki czy transi, pedofile albo zoofile. Wszyscy są jednakowym głównym, bo są ludźmi, a to poroniony gatunek.

Poroniony, jak wszystkie inne gatunki, bo życie to pomyłka. To dno. Porażka.

- Wszystko to fajnie wygląda tylko na papierze albo ekranie – opowiadała żona Romana, a ja pociągałem nosem. Chętnie bym się rozgrzał. Na niej. W niej. Bo co lepiej mogło rozgrzewać niż kobieta. Niż seks. Niż tarcie dwóch elementów ciał o siebie nawzajem.

- Wszystkie te wycieczkowe miejsca – ciągnęła Renka, a mi już chlupało w butach – są tak samo przereklamowane. Paryż. Grecja. Egipt. To tylko propaganda. Nic nie warta nuda.

Roman kichnął.

- To wszystko tandeta, która ładnie wygląda na papierze. Na zdjęciach. W interencje. Na ekranie telewizora. A ja was właśnie przed tym ocaliłam.

Mówiła o tym, jak mówiła, że:

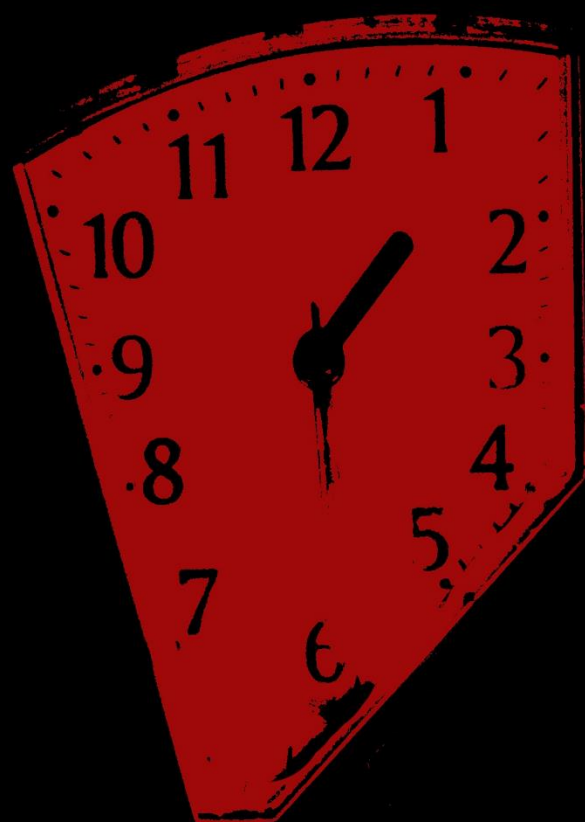
- *Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma* to szczyt rasizmu. W końcu ta idiotka śpiewa tam, że *Tylko koni żal*. Nie Cyganów, którzy już zniknęli, a koni. jak to inaczej odczytywać? Ha!

Bo pokazała nam prawdę. Bo dzięki niej przeżyliśmy to, co przeżylibyśmy latem, tylko taniej. I nawet lepiej, bo w mniejszym tłoku.

- A skoro zaoszczędziliśmy, to wyskakujcie z kasy i kupcie mi coś fajnego po powrocie – powiedziała Renka - Zasłużyłam.

I wyprzedziła nas, ruszają dalej, w stronę przystanku autobusowego.

KONIEC  
28.11.2020



**PRZEŁYKANIE  
WYKASŁANEJ FLEGMY**

## PRZELYKANIE WYKASŁANEJ FLEGMY

*Mam za długie ręce, za krótkie mam nogi,  
Kiedy stoję, stopami nie sięgam podłogi.  
Głowę mam za małą, za sztywną mam szyję,  
Dupę mam za miękką, a jednak wciąż żyję.*

- Komórki jajowe

Każda odpowiedź na dowolne pytanie, zawsze rozczarowuje. Nieważne jakiej sprawy dotyczy, nie ma znaczenia której kategorii, jakiego tematu ani jakiego człowieka dotyka, odpowiedź na pytanie zawsze jest taka sama – rozczarowująca. I nieważne czego spróbujecie, nieważne w co ją obleczecie i w jaki sposób podacie, prędzej czy później przekonacie się, że pytania nawet nie warto było zadawać.

Wszystko zaczęło się od miesiączki. Od nieskończonego, niekończącego się okresu, który najpierw dopadł kobiety, a potem mężczyzn i dzieci. Potem zaczęły się zabójcze wytryski, po nich ludzie nie mieli innego wyjścia, jak zacząć niekontrolowanie oddawać mocz i kał, a w końcu wszystko się zmieniło. Wszystko na chwilę ustało, świat zmienił się w jedną wielką ciszę przed burzą, a potem Ziemia zaczęła nas odpychać, zamiast przyciągać. Niebo stało się naszą podłogą, próżnia tonią jezior, a wybetonowane place sufitem egzystencji każdego człowieka.

A teraz wszystko się zmieniło. Na chwilę wróciło do normalności. Na jeden krótki moment zaczęło wydawać się, że to już koniec. Że znów, że po raz kolejny wszystko się ustabilizowało. A wtedy Renka powiedziała:

- Raz na jakiś czas potrzebny jest kataklizm, który na nowo scali duszę, kondensując ją w grupce wybrańców. Potop. Światowa pandemia. Niekończący się okres.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, wtedy nie miałem jeszcze pojęcia co się dzieje – zrozumienie przyszło dopiero potem – więc pomyślałem, że znowu coś mi się miesza. Coś kręci mi się w głowie, coś dzieje z moją pamięcią, że tylko wydaje mi się, że kiedyś już to mówiła, więc nie przejmowałem się i czekałem. Słuchałem. Rozglądałem się.

Czy mi się wydawało, czy jeszcze chwilę temu byliśmy na powierzchni? Jeszcze parę minut temu duch Kosmonauty wrzeszczał, że:

- Zobaczycie, że to wcale nie koniec, a tylko ja wiem, co teraz zrobić! Teraz to ja jestem prawdziwym bogiem, bo mam wiedzę!

A może jednak nie wrzeszczał? Może tylko sobie to wyobraziłem. Może na chwilę odpłynąłem w sen na jawie, bo przecież teraz byliśmy w tunelu, w mroku, w ciemności, gdzie prawdą mogło być wszystko, co tylko człowiek sobie wymyśli.

I wtedy Renka powiedziała:

- Nikt nie chce jeść płaskiego pączka, który wygląda jakby ktoś na nim usiadł.

A ja po prostu musiałem podrapać się w głowę. Pomasować skronie. Przesunąć ręką po włosach, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Jedna z uniwersalnych prawd o życiu jest taka, że człowiek nie potrzebuje odpowiedzi, a pytań. Człowiek potrzebuje wątpliwości, jakiejś niewiadomej, która mogłaby rozpalać jego umysł. Potrzebuje tajemnicy, więc wyobraża sobie kosmitów i Yeti, wymyśla złote miasta i kobiety idealne, które gdzieś tam może istnieją, bo jego życie jest tak nudne, tak ubogie i kiepskie, a jego kobieta tak brzydka, nijaka i odarta z seksapilu, że gdyby nie marzył, nie zostałoby mu już nic, tylko się zabić.

Ludzie nie chcą znać odpowiedzi, bo dopóki te nie padły, mogą się łudzić, że będzie dobrze. Że będzie, jak chcą, jak marzą, jak oczekują. Że będzie lepiej, niż byłoby gdyby ich marzenia się spełniły.

Co właściwie się dzieje, zorientowałem się mniej więcej wtedy, gdy Małolata powiedziała:

- Muszę zacząć się odchudzać.

Renki nie było. Wyszła gdzieś, zamaskowana rudymi włosami i okularami przeciwsłonecznymi. Tajna agentka udająca, że jest kimś, kim nie była. Wojowniczką ninją stąpającą bezszelestnie pomiędzy zwykłymi ludźmi, którzy mieli jej nie dostrzegać. A ja zorientowałem się, że to na pewno kiedyś już było. Że wydarzyło się, że przeżyłem ten moment i na pewno nie było to déjà vu. Nic z tych rzeczy. Żaden błąd w Matrixie, żadna pomyłka, żaden psikus mojego mózgu. Nic.

- Ty chyba w ogóle nie myślisz – mówiła Renka, kiedy ubieraliśmy się chwilę potem nad morzem, ale to nie była prawda. Myślałem, ale nie o tym, o czym sądziła, że mógłbym myśleć.

Czas płynął w tył. Wstecz. Skakał czasem w dziwne rejony, a może tak mi się wydawało, ale nieważne czy na chwilę ukazywał wydarzenia, które wymykały się chronologii, wraz z każdą kolejną chwilą cofał się coraz bardziej. A ja

pamiętałem o tym tylko przez chwilę. Przez moment, przez kilka sekund, zanim wspomnienia zaczynały zacierać się, jakby od początku to te dziwne przeskoki powodowały luki w pamięci. Powodowały, że zapomniałem o czym myślałem, bo myślałem o czymś, co już się wydarzyło, chociaż jeszcze nie miało prawa się wydarzyć.

Jakby tak działo się zawsze, bo wszystko to już było. Wszystko wciąż było po prostu powtarzaniem tego samego, od nowa, od początku, krok za korkiem. Jakbym był Prometeuszem wtaczającym głąz pod górę.

- Dobra, ja pójdę w lewo, ty w prawo – zdecydowała Renka – i spotkamy się za kilka minut z tym, co uda się znaleźć. Potem jedziemy dalej.

Do morza mieliśmy już całkiem blisko, ale przez chwilę, moment, przez ułamek sekundy nie myślałem o morzu.

Prawda o pytaniach była taka, że najlepiej brzmią, kiedy nie ma na nie odpowiedzi, bo odpowiedź która pada, zawsze, ale to zawsze jest sztampowa. Jest tandetna. Zawodzi, rozczarowuje. Rozwiązanie każdego zadania matematycznego jest jak rozwikłanie zagadki z przeszłości – ta dziwnie wyglądająca całka albo macierz okazuje się mieć tak pospolity wynik, jak pospolite jest wyjaśnienie, że kręgi w zbożu powstały ręką człowieka, a nie za sprawą kosmicznej technologii. Nawet pytanie *Czy wyjdiesz za mnie* zawsze doprowadzi do zawodu, bo jeśli kobieta powie nie, zostaną żal i wściekłość, a jeśli się zgodzi, jeśli z jej ust padnie to wyczekiwane *tak*, szybko okaże się, że nie była warta brania z nią ślubu.

Zapytaj jakąś seksowną dziewczynę czy się z tobą prześpi, a przekonasz się jakie emocje daje samo to pytanie. Ile w nim jest siły, ile mocy, ile niespełnionych oczekiwań. A potem czekaj na odpowiedź. Czekaj na pulsujący bólem jąder zawód, kiedy cię wyśmieje, albo na rozczarowanie, gdy się zgodzi, a okaże się przechodzoną, rozciągniętą dziwką, zarażoną tyłoma chorobami, że nawet prezerwatywa nie byłaby w stanie przed nimi uchronić, uratować, ocalić.

- Całkiem niezłe miejsce na finał – powiedziała Renka, zmierzając w stronę zachodzącego słońca, nieświadoma że czas wokół nas zmierza w przeciwną stronę. Nie do końca, nie do finału, a początku. Do punktu wyjścia.

A może wiedziała? Może wiedziała, jak ja, bo przez chwilę, przez moment, zanim te słowa padły z jej ust, w ciągu tych kilku sekund wyglądała, jakby chciała zadać jakieś pytanie, którego normalnie się nie zadaje. Wyglądała, jakby rozumiała, wiedziała.

A może tylko ja doświadczałem tego wszystkiego? Może tylko mój mózg, zmieniony przez te wszystkie jej eksperymenty, był w stanie dostrzegać to wszystko, odbierać, przetwarzać?



Nieważne ile było odpowiedzi, pytań zawsze przybywało, bo pytania są sensem życia, motorem napędowym ludzi i świata. W końcu tylko one nie zawodziły.

A potem już wiedziałem wszystko.

Jeszcze zanim wsiedliśmy do samochodu, by jechać nad morze, przypomniałem sobie, że Rence nic w życiu nie wyszło. Nic a nic, ani jedna rzecz. Przypominałem sobie to co zobaczyłem, może po raz kolejny, może po raz pierwszy.

Bo prawda była taka, że chociaż Renka chciała, żebym zaraził dziewczyny, których nie lubiła, żebym stał się jej bronią biologiczną, nigdy jej się to nie udało. Nigdy nie udało mi się przekazać nikomu żadnej z infekcji, bo nigdy z żadną z wrogich jej przedstawioelek płci pięknej nie udało mi się umówić. Nie byłem nawet pewien czy kiedykolwiek czymkolwiek od przyszłej wtedy żony Romana w ogóle się zaraziłem. Wszystko, co dolegało mi na tym polu, każdy z problemów, jaki się pojawił, mógł być wynikiem zwykłego otarcia, przeziębienia, nawet podrażnienia cewki moczowej szamponem.

Jak wspominałem, prawda zawsze rozczarowuje. Odpowiedz zawsze stanowią zawód.

Kiedy umyta ze spermy Romana Renka mówiła:

- Lepiej uważaj – pstrykając mnie palcem w wybrzuszenie na przodzie spodni, ja już wiedziałem, że to, iż Roman został blogerem, że ja zdobyłem swój program telewizyjny, było jedynie przypadkiem. Że nawet to jej nie wyszło, bo jedynie zażartowała byśmy spróbowali w tym kierunku. Nawet nie myślała, że możemy rzeczywiście to zrobić. Nie przyszło jej do głowy, przez myśl jej nie przeszło, że naprawdę spróbujemy.

Kolejna jej porażka.

Tak jak to, że nigdy nikogo nie zabiła. Że nie zabiła nawet jej sekta, sekta Romana, bo żaden taki kult nie istniał. Roman nie był kapłanem, nie był przywódcą. Był nikim. Drobnym cwaniaczkiem, z którym nigdy nawet o sekcje nie rozmawiałem, bo Renka nie chciała bym to robił. Bo rzekomo wyjawiała mi to jedynie w sekrecie, który jej mąż chciał ukrywać przed całym światem, nawet przede mną. Prawda tymczasem była taka, że to ona nie chciała za nic przyznać, że mogła wyjść za kogoś tak nijakiego. Dla niej zawsze musiał istnieć powód, wyższy cel, choćby tylko wyimaginowany, bo ktoś taki jak ona, po prostu nie mógł zniżyć się do takiego poziomu. Nie było nawet mowy, by mogła zakochać się w kimś, kto nie był wielki. By mogła być z kimś tylko dlatego, że nikt lepszy się nie trafił. Wyjść za kogoś tylko dlatego, że każda w tym wieku powinna już mieć męża i jeśli jakaś jeszcze go nie ma, jeśli jakaś jeszcze nie usidliła faceta, musi być gorsza, a ktoś taki, jak Renka gorszy być nie mógł, cokolwiek by się nie działo.

- Nie wiem, to ty jesteś facetem! Kurwa, przestań tak się gapić i rusz dupę!  
– Renka krzyczała prawie tak głośno, jak jej mąż.

A ja stałem, patrząc na nich oboje, ale przez ułamek sekundy, przez krótką chwilę, byłem myślami gdzieś indziej i w tym momencie wiedziałem, że żadna sekta nie istniała. Że to była jedynie grupa kilku facetów, których Renka kiepskim seksem przekonała by przez chwilę, czasami, udawali jej wyznawców, by mogła poczuć się lepiej. Oni chcieli, by rozkładała przed nimi nogi i brała do ust ich wytryski, a ona żądała w zamian uwielbienia. Żądała, by swoimi słowami i zachowaniem sprawiali, żeby czuła się lepiej. Czuła naprawdę kimś. Stawała się kimś, bo kiedy kimś się czujesz, po prostu musisz nim być.

Ale nigdy nikogo nie zabili. Nawet w tunelach. Wystarczyło, że pozwoliła im się przelecieć analnie gdzieś w ciemności podziemnych przejść, a z chęcią podcinała gardła spotkanym trupom, które zginęły pewnie z głodu albo chorób, z odwodnienia albo w wyniku jakichś głupich wypadków, które może odeszły z tego świata samobójczą śmiercią albo jako ofiary powikłań niekończącej się miesiączki, tak żeby wyglądali na ich ofiary. Sekta, której nie było szła przed nami, wynajdowała trupy i nacinała ich martwe szyje tylko po to, by Renka mogła pokazać jaką ma władzę, że jest królową i boginią, bo kiedy czuła się nią, oni czuli na swoich penisach jej ciepłe, mokre krocze.

Bo prawda jest taka, że lepiej udawać zbrodniarza, być kimś, kogo ludzie się boją, niż być nikim.

A prawda zawsze rozczarowuje.

- Weźcie to. – Renka rzuciła nam pudełko pełne pudełeczek leku na ból brzucha. Na skurcze mięśni gładkich. – Ale nie bierzcie żadnych przeciwbólowych. Większość z nich powoduje rozrzedzenie krwi.

Okradaliśmy aptekę, odzyskiwaliśmy z niej to, co powinno być dla nas, ale przez ułamek sekundy, zamiast grzebać w medykamentach, po prostu wiedziałem. Pamiętałem.

Policja miała więcej podejrzanych w sprawie morderstw dokonanych przez „K”. Renką interesowali się najbardziej, jak interesowały się nią media, bo była żoną znanego blogera. Przyjaciółką Najbardziej Pechowego Człowieka na Świecie. A prawda była taka, że mordował jakiś nieistotny facet, który znał i ofiary, i Renkę. Kolejny żaloszny, zdradzony typ. Dopiero kolejne zbrodnie, z którymi Renki nie dało się powiązać, inne sprawy, których dotąd nie rozpatrywano, jako jego, wykazały kto naprawdę zabijał, ale i media, i policja wiedzieli już swoje i niczego więcej nie potrzebowali. Nic ich nie obchodziło. Bo z dowodami, jest jak z prawdą – zawsze da się dostosować je do własnej wersji wydarzeń.

Nic więc dziwnego, że kiedy policja jej szukała za zbrodnie, których nie popełniła, nie wiedziała co robić. Uciekała, wracała, miotała się. Zapewniała

sobie alibi. Ratowała się, jednocześnie starając się ukryć przed problemami. Zawsze miała dobrą gadkę, zawsze dobrze wychodziło jej chwalenie się, wytykanie innym błędów, wygłaszanie ponadczasowych prawd, jakby ludzie byli zbyt głupi, by je znać, ale to nie znaczyło, że równie dobrze wychodziło jej działanie. Teoria a praktyka to dwie różne rzeczy.

I nawet nie zabiła Romana.

Kiedy Renka mówiła, mlaskając:

- Plus jest taki że teraz przynajmniej mogę jeść tyle czekolady, ile zechcę.

Ja nie byłem na przechadzce z nią i Romanem, tylko widziałem, jak ogłusza swojego męża, bo obudził się i poza tym, że dobrał się do jedzenia, za żadne skarby nie chciał oderwać swoich rąk od papierowych zawiniątek. Od tych morderczych ruloników z pornosami. Powiedziała mu o nich, chwaliła się bronią, chwaliła obroną idealną, ale nie przewidziała, że on będzie chciał przekonać się na własnej skórze, że mówi prawdę. Tak jej ufał. Tak ją kochał.

Tak, jak ona kochał jego. Jak mu ufała.

Bo może i jest na tym świecie miłość, za którą się umiera, ale nie ma miłości, za którą chce się pójść do więzienia. Lepiej wsadzić męża do samochodu i zabrać go na drugi koniec kraju, by może potem podrzucić gdzieś do jakiegoś szpitala, ale nie wezwać pogotowie i dać się aresztować za niepopelnione zbrodnie.

Może i wspaniale jest, gdy ludzie myślą, że jesteś morderczynią, gdy się ciebie boją, ale nie gdy myśli tak o tym policja.

Mogła go zostawić w domu, by ktoś go znalazł, a nie ciągnąc na pewną śmierć, ale kto wtedy uwierzyłby w niewinność kobiety, która porzuca męża byle uciekać gdzieś przed siebie?

Lepiej udawać kogoś, kim się nie jest, nawet przed sobą. Lepiej udawać niewzruszoną, doskonale opanowaną geniszkę, która zniszczyła cały świat.

A potem Roman i tak otworzył te ruloniki. Tak samo, jak otworzyli je policjanci. Krzyczała do nich, że ma broń, niech się nie zbliżają. Ostrzegala, że zginą, ale kazali je jej rzucić na ziemię. Spojrzeli, bo który facet nie spojrzy na broń. A potem już było po wszystkim.

Owszem, przejechała faceta w lesie. Potrafiła tego zbierającego grzyby kota na wysokich nogach, ale to był tylko wypadek. Nie zrobiła tego celowo. Nie z premedytacją.

- Zajęcia w szkołach zostały w chwili obecnej zawieszane na najbliższe dwa tygodnie. Jeśli sytuacja do tego czasu nie ulegnie poprawie, rozważamy zawieszenie ich aż do odwołania, z przeniesieniem nauki na grunt lekcji wirtualnych – krzyczały głośniki telewizora, ale ja ich nie słuchałem. Widziałem tylko Renkę. Wspominałem ją, wspominałem moment, kiedy uprawialiśmy seks gdzieś na plaży nad morzem pełnym rybiej spermy, ale nawet to nie było tym, czym chciał Renka.

Owszem, miała zamiar mnie zabić. Myślała o tym, bo kiedy długo udajesz kogoś, kim nie jesteś, w końcu spróbujesz nim się stać, ale czy rzeczywiście była w stanie to zrobić?

Owszem, wrzuciła Kosmonautę do otworu kanalizacji, ale czy rzeczywiście spodziewała się, że spadnie, skoro tak łatwo było zaklinować się w tej ciasnej przestrzeni?

Owszem, wędrowała tunelami, twierdząc, że robi to, żeby pozabijać cały ocalały świat, wszystkich wciąż żyjących ludzi, ale robiła to tylko dlatego, by udawać, że ma jakiś plan. Że wie, co teraz trzeba, co musi, co powinna.

Taka była prawda. takie były odpowiedzi – rozczarowujące, zawodzące pokładane w nich oczekiwania. Były niczym wytrysk w usta, o którym zawsze marzyłeś, ale ostatecznie okazał się aktem równie podniecającym, co przełykanie przez kobietę wykaślanej właśnie flegmy. Były niczym zjedzenie wykwintnego dania tylko po to, by odkryć, że wymyślna receptura smakuje niczym kanapka z tanim salami. Niczym przekonanie się, jak wygląda kobieta bez makijażu.

Zaśmiałem się.

Musiałem powiedzieć o tym Rence. Musiałem wykrzyknąć jej to wszystko w twarz, pokazać że znam prawdę. Pokazać kim jest, jaka jest i że stoję od niej wyżej. Że to ja jestem bogiem, bóstwem, królem. Panem. Ja. Nie ona.

Wyszedłem więc z domu. Wybiegłem, ale chwilę potem zwolniłem. Szedłem powoli, nie spieszyłem się, wolny na razie od pracy, kiedy zobaczyłem ją. Kremowe spodnie maszerowały przede mną, dopóki nie wykwitła na nich plama krwi. Plama wykwitła, urosła, kobieta natomiast poczuła chyba, że jest jej mokro, bo zaczęła macać się po pośladkach, a ją wyminąłem ją i szedłem dalej.

- Kurwa mać! – wysyczała właścicielka spodni, które, zanim wróci do domu, nie będą się już nadawały do doprania. – Co za cholera?!

Nawet nie wzruszyłem ramionami.

Szedłem w jakieś konkretne miejsce – pewnie po zakupy, ale głowy nie dam sobie uciąć, ale szybko wypadło mi to z głowy. Może chciałem odwiedzić przyjaciela? Może zajrzeć do punktu z prasą? A może tak po prostu, rozprostować się, chociaż czy ja lubiłem się rozprostowywać? Wychodzić bez celu? Ćwiczyć?

Cokolwiek to było, nie pamiętałem już. Nieważne. Zdarza się.

I wtedy się zaczęło. Na dobre. Kolejne krwawiące, przeciekające kobiety. Wszędzie krew. Miesiączka za miesiączką, za menstruacją, za okresem.

Na całym świecie działo się dokładnie to samo.

30.12.2020 r.